

**Longin Kaczanowski**

## **W kleszczach agentów i donosicieli**

Szpiegowanie i donosicielstwo, których matką jest ZDRADA, są stare jak świat. Biblijny Judasz, uważany przez teologów za pierwszego jałmużnika – przecież miał rozdawać pieniądze biednym – okazał się sprzedawczykiem i zdrajcą Jezusa. Urobione od jego imienia przysłowiove „judaszowe srebrniki”, to zapłata za haniebne czyny, mająca postać nie tylko brzęczącej monety. Pojawiające się kartach ludzkiej egzystencji, kilka paczek papierosów, butelek wódki czy połącz słoniny na zawsze pozostaną symbolem nikczemnego donosu i pospolitego szpiegowania, czyli zdrady. Od strony moralnej nie ma znaczenia, czy zapłatą za taki czyn była walizka pieniędzy, czy karton papierosów. Zdrada ma jeden wymiar, lecz owoce zdrady mają różne wymiary i oblicza.

Denuncjacja nie jest żadną narodową specjalnością. Z różnych przyczyn i uwarunkowań pojawiała się i występowała pod każdą szerokością geograficzną. Siatka szpiegów, agentów i donosicieli jest szczególnie przydatna władzy sprawowanej w warunkach ekstremalnych i niezwykłych. By zrozumieć ten mechanizm, bynajmniej nie sięgając do Adama i Ewy, wystarczy rzut oka na naszą polską historię lat 1939–1945 pod dwiema okupacjami, a także w pierwszym, wyjątkowo dramatycznym okresie po zakończeniu II wojny światowej, w swoim czasie zwanym eufemistycznie i wyjątkowo łagodnie okresem „błędów i wypaczeń”.

Przygotowana skrupulatnie, wręcz wzorcowo, przez Jerzego Mazurka praca *Tadeusz Kalita „Spóźniony” melduje. Okupacja niemiecka i rzeczywistość PRL w donosach agenta UB/SB* umożliwia poznanie mechanizmu donosicielstwa i jego społecznego tła na przykładzie małego skrawka Polski, „zwykłego” fragmentu regionu świętokrzyskiego.

Wioski, których mieszkańcy przez całe lata byli w kręgu zainteresowań „Spóźnionego”, należą do starożytnej parafii momińskiej, o której średnio-wiecznym rodowodzie świadczy fakt, że nosi wezwanie św. Wojciecha. Rzecz dotyczy miejscowości aktualnie położonych w gminach Bodzechów i Waśniów, w powiecie ostrowieckim, w minionych latach w większości przynależnych do gminy Boksyce z siedzibą w Mominie w powiecie opatowskim. W czasie okupacji obszar ten, jak prawie cała historyczna Kielecczyzna, był położony w granicach dystryktu radomskiego.

Pomimo że przez gminy Bodzechów i Waśniów nie przebiegają główne szlaki, jest to interesujący i uroczy zakątek ziemi świętokrzyskiej. A może właśnie dlatego, że nie ma tu mrowia turystów, wciąż tajemniczy i godny poznania. Ma piękną przyrodę, z płynącą jego obrzeżami malowniczą rzeką Kamienną, ciekawe zabytki oraz bogate dzieje i znakomite postaci związane z regionem. W Gaju pod Waśniowem urodził się Wespazjan Kochowski (1633–1700), świetny poeta i dziejopis baroku, uczestnik odsieczy wiedeńskiej króla Jana III Sobieskiego, autor, między innymi napisanych po łacinie *Annalium Poloniae*, niestety wydanych tylko częściowo w języku polskim w fantastycznym tłumaczeniu Leszka Kukulskiego w tomie *Lata potopu 1655–1657*, a także niezrównanego dzieła pod dającym wiele do myślenia tytułem *Niepróżnujące próznowanie*. W Garbaczcu mieszkał, gospodarował i zmarł Józef Gołuchowski (1797–1858), pochowany w kościele w Mominie słynny filozof, ojciec duchowy polskiego romantyzmu. Przed laty na łamach „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Mazurek opublikował cenny źródłowy artykuł o tej dziś zapomnianej barwnej postaci polskiej nauki<sup>1</sup>.

Ale nie tylko myśliciele i poeci wyrastali na świętokrzyskiej glebie. W Bodzechowie urodził się Feliks Pancer (1798–1851), sławny w swoim czasie konstruktor oraz budowniczy wiaduktów i mostów. Pierwsze nauki pobierał w szkole w Wąchocku, uroczej miejscowości o przebogatej historii, położonej nad Kamienną, niesłusznie złośliwie opiewanej w idiotycznych kawałach. Po naukach elementarnych Pancer zgłębiał filozofię (a jednak!) na Uniwersytecie Warszawskim, ale ostatecznie ukończył studia inżynierskie. Jego najśłynniejszą budowlą warszawską był wspaniały, monumentalny wiadukt łączący Krakowskie Przedmieście, przez ulicę Karową z Powi-

---

<sup>1</sup> J. Mazurek, *Piewca chrześcijańskiego porządku*, „Tygodnik Powszechny” 1999, nr 1, s. 19.

ślem do mostu Kierbedzia. Niestety, budowla podzieliła los miasta w 1944 roku. Chodzą słuchy o planach odbudowy wiaduktu, ale chyba jest to sfera marzeń.

Z Ćmielowem, położonym za gminną miedzą, sławnym z cudownej porcelany, był związany urodzony w rodzinie chłopskiej w Czerwonej Górze ks. Kacper Kotkowski (1814–1875), w czasach powstania styczniowego naczelnik cywilny i komisarz Rządu Narodowego na województwo sandomierskie. Na jego temat piękny artykuł napisał także Jerzy Mazurek<sup>2</sup>. Z Kotkowskich, ale innych, pochodziła matka Witolda Gombrowicza. Była to rodzina ziemiańska od niepamiętnych czasów zasiedziała na terenach pomiędzy Wisłą a Pilicą. Ich gniazdo rodowe to Bodzechów, ale posiadali także wiele innych włości nabytych w drodze spadku bądź zakupu. Między innymi Marceli Kotkowski, po kądzieli przodek Barbary i Teresy Piwnik, zakupił w 1913 roku dwór w Kosowicach, który zbudowany został w latach czterdziestych XIX wieku.

Trudno nie przywołać pochodzącego z rozgałęzionej rodziny Jopów, będącej na czujnym celowniku „Spóźnionego”, biskupa Franciszka Jopa (1897–1976). Był wybitną postacią polskiego Kościoła, początkowo biskupem pomocniczym diecezji sandomierskiej. W trudnych latach pięćdziesiątych zarządzał archidiecezją krakowską. Uczestniczył w nadaniu sakry biskupiej Karolowi Wojtyłe. Został pierwszym biskupem nowej diecezji opolskiej. Warto wiedzieć, że do diecezji sandomierskiej przynależą wszystkie miejscowości, w których działał „Spóźniony”. Biskup Franciszek Jop urodził się w Starej Słupi, położonej u... podnóża Gór Świętokrzyskich, jak wyczytałem w jednej publikacji. Podobnie karkołomnie można napisać np. o Warszawie, że leży na granicy Mazowsza. Znajomość rodzimej geografii jest momentami porażająca...

Z czasów okupacji i nam bliższych musimy przywołać Jana Piwnika (1912–1944), który przyszedł na świat w Janowicach. Żołnierz Września 1939, cichociemny, pod pseudonimem „Ponury” jest znany jako wybitny dowódca partyzancki w Świętokrzyskiem i na Nowogródczyźnie, gdzie poległ w walce z Niemcami. Powtórny pogrzeb „Ponurego” odbył się w 1987 roku. Spoczął w krypcie klasztoru cystersów w Wąchocku. Wprost wierzyć się nie chce, że aż 43 lata trwały starania o złożenie prochów Komendanta w jego

---

<sup>2</sup> Idem, *Rodzina ks. Kacpra Kotkowskiego z Czerwonej Góry w świetle nowych źródeł*, „Zeszyty Sandomierskie”, nr 43, s. 21–31.

rodzinnej, świętokrzyskiej ziemi. W Janowicach również urodził się młodszy brat Jana, Józef Piwnik (1921–2009), uważnie śledzony przez „naszego” agenta, w czasie wojny partyzant „Topola” w szeregach AK. Związany był z Kosowicami, ojciec dwóch już wspomnianych córek: Barbary – sędzi, minister sprawiedliwości w III RP, oraz Teresy – architektka. Szczególne dramaty, następstwo konfidenckich działań „Spóźnionego”, dotknęły spowinowacone z nim rodziny Cichockich i Mądzików, związane z rejonem Łysogór.

Jest niezmiernie istotne i cenne, że książka Jerzego Mazurka dotyczy ludzi i wydarzeń z historii ziemi świętokrzyskiej, tej ziemi, która zawsze znajdowała się w forpoczcie narodowych zmagania z zaborcą, okupantem, o wolność, niepodległość i ludzką godność. Dobitnie potwierdzają to dzieje insurekcji kościuszkowskiej, powstania listopadowego, szczególnie powstania styczniowego, wydarzeń z lat 1905–1907, nazywanych też czwartym powstaniem narodowym. W latach okupacji niemieckiej Świętokrzyskie, obok Warszawy i ziemi lubelskiej, było najbardziej zapalnym regionem konspiracji i partyzantki. A po wojnie?

Stanisław Wałach (1919–1999), szef wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego, kolejno w Krakowie, Kielcach i Białymstoku, o Kielecczyźnie zdanie miał jak najgorsze, czemu dał wyraz w swoich kilkakrotnie wznawianych pamiętnikach.

W czasie okupacji – pisze pułkownik Wałach – teren województwa kieleckiego poważnie różnił się od znanych mi terenów województwa krakowskiego, a zwłaszcza mojej ziemi rodzinnej – Chrzanowskiego. (...) W Kieleckiem istniały silne ugrupowania skrajnie prawicowe, których głównym celem stała się walka z siłami lewicy. Obok tych skrajnie reakcyjnych i nacjonalistycznych oddziałów istniały w Kieleckiem także podporządkowane obozowi londyńskiemu oddziały Armii Krajowej, w której zgrupowane zostały siły społeczne i wojskowe liczące na odbudowę Polski w jej kształcie przedwrześniowym.

I dalej: „Aktywizacja reakcyjnego podziemia w Kieleckiem przybrała na sile pod koniec wiosny 1945 roku. W późniejszym okresie, po powstaniu PSL i zorganizowaniu zrzeszenia »Wolność i Niezawisłość«, sytuacja w województwie stała się jeszcze bardziej napięta. Kielecki ośrodek WiN był jednym z najbardziej aktywnych w kraju”<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> S. Wałach, *Świadectwo tamtych dniom...*, Kraków 1976, s. 215.

Nowe władze Polski, zdradzonej *de facto*, narzucone przez aliantów, choć rzekomo byliśmy razem w zwycięskim obozie, dogłębnie kontrolowały społeczeństwo przez system nader licznych donosicieli. Jednym z jego ogniów był „Spóźniony”. Nie był agentem głównej linii, nie miał do czynienia z postaciami z pierwszych stron gazet, ale swą pracę gminnego donosiciela wykonywał rzetelnie, zgodnie z instrukcjami, i z dużym zaangażowaniem. „Do pracy z Urzędem Bezpieczeństwa jest chętny i wykazuje szczerość” – pisał prowadzący Kalitę oficer w raporcie do swoich władz zwierzchnich. Cokolwiek miałyby znaczyć szczerość „Spóźnionego”, niewątpliwie swą pracą dołożył sporo cegiełek do budowy oraz „umacniania władzy robotniczo-chłopskiej”. Przez sumienne, nawet wręcz służalcze wykonywanie zadań przez Kalitę i jemu podobnych władza dysponowała obrazem nastrojów społecznych na poziomie Polski gminnej i powiatowej, pozyskiwała „materiał” do eliminowania jednostek dla niej szczególnie niebezpiecznych. Ale wszystkich, rzecz jasna, inwigilować i zamknąć nie mogła!

Barwne meldunki, raporty, po prostu zwyczajne donosy „Spóźnionego”, wybaczymy autorowi liczne błędy gramatyczne i ortograficzne, o niepowtarzalnym kolorycie i klimacie, były pisane i przekazywane w latach 1952–1966, a więc prawie przez 15 lat. Przez tak długi okres trwała nienaganna i wzorowa współpraca „Spóźnionego” z organami Urzędu, potem Służby Bezpieczeństwa. Wielokrotnie potwierdzali to jego mocodawcy, podnosząc perfekcyjność oraz bezgraniczne oddanie agenta. Niewykluczone, co trafnie zauważa Jerzy Mazurek, że Tadeusz Kalita mógł znacznie wcześniej nawiązać kontakty z Urzędem Bezpieczeństwa, zapewne w Ostrowcu Świętokrzyskim, już w 1945 roku, ale tzw. twardych dowodów brak. Może w wyjaśnieniu tej zagadki pomogłoby ujawnienie tożsamości i pracy agentów Urzędu Bezpieczeństwa/Służby Bezpieczeństwa o pseudonimach: „Zryw”, „Stały”, „Burza”, „Dąb”, „Smutny”, „Obywatel D”, „Lepszy”, „Krakus”, „X-6”, których raporty były konfrontowane z wiedzą dostarczaną przez „Spóźnionego”. Trudno pojąć, dlaczego donosy aż ośmiu konfidentów, zapewne w czasie wielu lat, miały uwiarygodniać meldunki Kality. Wynika z tego jeden wniosek, chyba fundamentalny – owoce jego pracy musiały być szczególnie ważne dla władz bezpieczeństwa. Potwierdzeniem tego jest wyjątkowo długi okres agenturalnych kontaktów „Spóźnionego”.

W meldunkach – donosach, które „Spóźniony” pisał bądź przekazywał w czasie rozmów z oficerem prowadzącym, bardzo często przewijają się ludzie i wydarzenia z lat okupacji niemieckiej. Nie tylko dlatego, że wojna

odcisnęła mocny ślad na tamtejszej społeczności. Powodem było ciągle zainteresowanie władz UB, a później SB, środowiskiem byłych konspiratorów i partyzantów, akowców, bechowców, eneszetowców z założenia uważanych za ludzi niepewnych i wrogich ustrojowi. Na Kielecczyźnie to zainteresowanie trwało po kres PRL.

Dla wielu osób powojenny czas inwigilacji był w jakimś sensie przedłużeniem praktyk stosowanych wobec nich w latach okupacji. Jakże dużo ludzi wojennej konspiracji w obawie przed śledzeniem, rewizjami, aresztowaniem, po 1945 roku wyprowadziło się na ziemie zachodnie i północne. Nie wszystkim udało się uciec przed „czułą” opieką bezpieki. Tadeusz Kalita – jeden z agentów, którzy docierali do środowisk byłych żołnierzy konspiracji – miał za zadanie śledzić byłych partyzantów „Ponurego” i „Nurta”. Ci ludzie mogliby z całym spokojem powiedzieć, że dla nich wojna wciąż trwała. Dokładnie nie wiadomo, ilu z nich, nie tylko od „Ponurego” i „Nurta”, ale także „Szarego” oraz innych partyzanckich dowódców, na skutek donosów zostało zniemacka aresztowanych, przewiezionych do placówek UB w Kielce, przesłuchiowanych, bitych, niejednokrotnie sądzonych i skazanych na podstawie dekretu PKWN z sierpnia 1944 roku („O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”). Do jednego worka władza wrzucała niemieckich zbrodniarzy i Polaków, którzy z nimi walczyli. Żeby zrozumieć jak to wyglądało, wystarczy choćby poznać historię rozbicia przez „Szarego” ubeckiego więzienia w Kielcach czy sięgnąć po Kazimierza Moczarskiego *Rozmowy z katem*. Ileż jest prawdy w bolesnych słowach, że wojna nigdy się nie kończy, wiedzą ci, dla których powraca ona w rodzinnych historiach. Groby wielu potajemnie straconych bojowników o Niepodległość nie zostały dotychczas odnalezione...

Głośne echa wojny minionej, które po 1945 roku wciąż rozchodziły się po kraju, również co i raz pobrzmiwające w donosach „Spóźnionego”, wskazują na potrzebę powiedzenia choćby paru zdań o okupacyjnej inwigilacji ruchu oporu i całego społeczeństwa na przykładzie działań okupanta w Górach Świętokrzyskich.

Na ziemiach polskich okupowanych bezpośrednio, jak region świętokrzyski zamknięty w granicach dystryktu radomskiego, czy też włączonych do Rzeszy niemiecka agentura była dobrze zorganizowana i rozbudowana. Niewątpliwie ta złowroga machina w jakiejś części została przygotowana już przed wybuchem wojny. Najwybitniejszy znawca dziejów okupacji pro-

fesor Czesław Madajczyk zwięźle i precyzyjnie pisze o interesującym nas zagadnieniu:

Informacje o środowiskach polskich uzyskiwały władze policyjne głównie dzięki różnym znalezionym kartotekom i przygotowanym przed wojną listom proskrypcyjnym oraz dzięki konfidentom różnie werbowanym, dobrowolnie, za wynagrodzeniem, pod przymusem, pod szantażem wyzyskując ich nadmierne ambicje, warcholstwo czy nienawiść osobistą oraz torturując ujętych. Prawdziwą armię konfidentów stanowiły grupy volksdeutschów, świetnie znających stosunki panujące wśród Polaków<sup>4</sup>.

Znaczenie TW w pracy wywiadowczej podniósł w interesującej pracy Leszek Gondek, znawca problematyki podziemnego wymiaru sprawiedliwości. Jego zdaniem

jak świat światem służby specjalne korzystały i to sowicie z usług tajnych współpracowników, do celów nie tylko informacyjnych, ale także dezinformacyjnych, inspirujących, legalizujących. W tym przedmiocie do dnia dzisiejszego, mimo ogromnego postępu technik (podśluchy, podglądy itp.), nic się nie zmieniło. W latach wojny podstawowym zagrożeniem dla jednostki nieakceptującej okupacyjnego gestora władzy byli: sąsiad, kolega z pracy, znajomy, jednym słowem – ludzie dogłębnie kogoś znający, a pozostający na usługach aparatu przemocy. Sama technika, bez pomocy i to wszechstronnej człowieka, dałaby bardzo małe efekty. Przykładowo, likwidację wielu pracowników wywiadu KG AK zawdzięczało gestapo przede wszystkim rodzinnym delatorom, nie zaś geniuszowi własnych pracowników<sup>5</sup>.

Rolę agentów-konfidentów bardzo mocno akcentuje w swoich publikacjach Jan Pietrzykowski, prawnik i historyk, a zarazem „praktyk” zagadnień okupacyjnych, który jako prokurator występował w powojennych procesach zbrodniarzy hitlerowskich.

Głównym i najbardziej cenionym przez gestapo i SD źródłem informacji – zdaniem Jana Pietrzykowskiego – obok materiałów pozyskanych w czasie rewizji

---

<sup>4</sup> C. Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, Warszawa 1970, t. 2, s. 258.

<sup>5</sup> L. Gondek, *Polska karząca*, Warszawa 1988, s. 17.

i wymuszonych zeznań – były doniesienia konfidentów. Większość akcji terrorystycznych gestapo przeprowadzona została w następstwie obserwacji dokonanych przez „zaufane osoby” i po złożeniu przez nie meldunków. Siatkami konfidentów dysponowały różne formacje policji, nie tylko gestapo i służba bezpieczeństwa SS, ale również policja porządkowa, szupo i żandarmeria. Gestapo rywalizując ze służbą bezpieczeństwa SS, która pretendowała do wyłącznego prowadzenia wywiadu, nie szczędziło wysiłków, aby wszystkie informacje konfidentów skupiały się w referatach N<sup>6</sup>.

Plany skupienia w jednym miejscu danych o informatorach nie doszły do skutku, ale i tak referat N należał do najważniejszych w strukturach policyjnych i pozostawał swoistym kręgosłupem gestapo.

Rozbudowany system policji niemieckiej miał znacznie zróżnicowany podział „zaufanych osób”, po prosu agent agentowi nie był równy. Badacz zagadnienia Stanisław Biernacki pisze o podziale konfidentów na: honorowych współpracowników, mężów zaufania, donosicieli, agentów i informatorów. Innym źródłem informacji dla policji niemieckiej były obywatelskie donosy, kierowane pocztą czy też, o czym chyba mało kto wie, wrzucane do specjalnych skrzynek instalowanych w urzędach. Akcja przechwytywania donosów na pocztach przez zakonspirowanych członków ruchu oporu ograniczała dopływ konfidenckich informacji. Jak zauważa Stanisław Biernacki, „według relacji sądzonych w Polsce funkcjonariuszy gestapo w Warszawie najwięcej donosów napływało w dzielnicach zamieszkałych przez ludność należącą do różnych warstw społecznych. Nie było to źródło informacji uważane za absolutnie pewne i według tych relacji nie dostarczało takiej liczby danych, jak na innych terenach okupowanych, przede wszystkim we Francji”<sup>7</sup>.

Informatorzy, agenci i donosiciele wszelkiej maści byli przede wszystkim w gestii policji politycznej, w mniejszym stopniu kryminalnej. W dystryktowym Urzędzie Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa czołowym był Wydział IV – Tajnej Policji Państwowej, od skrótu w języku niemieckim potocznie nazywany gestapo. W dystrykcie radomskim najważniejszą postacią tego wydziału dość szybko stał się kapitan SS, radca kryminalny

---

<sup>6</sup> J. Pietrzykowski, *Tajemnice archiwum gestapo. Przyczynki do historii niemieckiej okupacji w Polsce*, Katowice 1989, s. 141.

<sup>7</sup> S. Biernacki, *Okupant a ruch oporu. Władze hitlerowskie w walce z ruchem oporu w dystrykcie warszawskim*, Warszawa 1989, s. 67.

Paul Fuchs. W Berlinie, w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy miał opinię jednego z najlepszych fachowców w zwalczaniu konspiracji antyniemieckiej. Nic więc dziwnego, że to Fuchsowi powierzono misję rozpoznania możliwości utworzenia tzw. rządu polskiego. Za przykładem norweskiego zdrajcy Quislinga Niemcy chcieli wykorzystać przedwojennego premiera prof. Leona Kozłowskiego, ale pomysł ten całkowicie okazał się chybiony. Zawiedziony Fuchs raportował do Berlina: „Kozłowski w żadnym wypadku nie zdradzi polskiego narodu, lecz przeciwnie zawsze reprezentować będzie interesy przyszłej, niepodległej Polski”<sup>8</sup>.

W polskim podziemiu istniały, rzecz jasna, agendy wywiadu i kontrwywiadu, które miały swoich agentów w strukturach policji niemieckiej. Gdy rozpracowywano radomskiego zbrodniarza, początkowo sądzono, że Fuchs, po niemiecku lis, to jego pseudonim. Uchodził za człowieka inteligentnego, sprytnego i przebiegłego, i takim był w istocie. Znany z tworzenia otoczki o jego rzekomo eleganckim traktowaniu więźniów, w istocie był diabolicznie, „przyjacielsko” przebiegły. Zwracał się – na przykład – do aresztowanych tymi słowy: „Ja panu życia nie dawałem, więc nie mam go prawa odbierać”. Brzmiało to uspakajająco, ale ostatecznie aresztant trafiał przed pluton egzekucyjny bądź do obozu koncentracyjnego, co było tylko kwestią czasu. Fuchs skupiał w swych rękach kierownictwo dwóch szczególnie ważnych referatów gestapo – IV C i wspomnianego IV N. Funkcjonariusze pierwszego z nich kierowali walką z całą polską konspiracją, sabotażem, zrzutami i cichociemnymi, nadzorowali pocztę i telefony. Z kolei referat IV N był poniekąd nieodzownym uzupełnieniem pierwszego z wymienionych. Jego funkcjonariusze zajmowali się werbowaniem, prowadzeniem oraz opieką agentów – konfidentów. Konfidenckie donosy stanowiły istotne źródło kart, które zakładano osobom należącym do tajnych organizacji i wykorzystywano do aresztowań. Do podsłuchów i cenzurowania poczty angażowano volksdeutsche zatrudnionych w placówkach Sipo. Funkcjonariusze nadzorujący konfidentów otrzymywali specjalną pulę wódki, papierosów i artykułów żywnościowych, przeznaczoną do zapłaty podopiecznym<sup>9</sup>.

Warto sobie uzmysłowić, że w skali dystryktu było zaledwie stu kilkudziesięciu gestapowców. Stanowili wyjątkową elitę policji. W latach

---

<sup>8</sup> J. Pietrzykowski, *Tajemnice archiwum...*, op. cit., s. 31.

<sup>9</sup> J. Francki, *Hitlerowski aparat policyjny i sądowniczy i jego działalność ze szczególnym uwzględnieniem ziemi radomskiej*, Radom 1978.

okupacji słowo „gestapowiec” należało do najbardziej okrutnych, budziło niepokój, grozę, a nawet strach. Funkcjonariusze gestapo decydowali o ludzkim losie przez zarządzanie aresztowań, kotłów, łapanek. Dzisiaj mało kto wie, co znaczą i jakie okupacyjne tragedie kryją się pod tymi słowami. Gestapowcy przesądzali o zabijaniu, bezwzględnym eliminowaniu ludzi, ich zdaniem niebezpiecznych dla Rzeszy, bardzo często stosując odpowiedzialność zbiorową przez skazywanie na śmierć w pojedynczych i masowych egzekucjach, rozstrzeliwaniu i palenie żywcem w akcjach pacyfikacyjnych bądź powolne konanie w obozach koncentracyjnych. Gestapowcy, również Paul Fuchs, to wzorcowi naziści – „zbrodniarze zza biurka”. Byli mózgi zbrodni, kierowali egzekucjami i pacyfikacjami, deportacjami do obozów. Bezpośrednie wykonawstwo spoczywało w rękach policji oraz żandarmerii, rozmieszczonej w różnych jednostkach, plutonach i posterunkach na terenie całego dystryktu. Niestety, w potocznym rozumieniu na ogół prawie wszystkich sprawców zabójstw okupacyjnych nazywa się „gestapowcami”, ale to jest rzecz jasna nieporozumienie.

Donosiciele, szpiedzy, agenci, jednym słowem – kolaboranci mieli swoje gniazda w najróżniejszych urzędach, placówkach, wśród ludności cywilnej i w szeregach konspiracji. Już chyba żaden historyk nie będzie w stanie policzyć, ilu ich było. Zresztą nie jest to tak istotne. Ważniejsze byłoby dotarcie do efektów prac agenturalnych. Na ich podstawie sporządzano wykazy, które już brzmiały jak wyroki śmierci. Następstwem konfidenckich donosów i raportów były aresztowania, egzekucje, pacyfikacje, wywózki do obozów koncentracyjnych. Gestapo nie uderzało w ciemno. Na skutek donosów w ręce oprawców został wydany i zamordowany w KL Auschwitz o. Maksymilian Kolbe. Konfidenckie raporty rodaków przyczyniły się do aresztowania gen. Tadeusza Roweckiego „Grotą”, dowódcy Armii Krajowej.

Przy okazji ciekawostka: w ujęcie generała „Grotą” była również zaangażowana kielecka placówka gestapo. Poruszającym serce tekstem o tym tragicznym dla narodu polskiego zdarzeniu jest znakomity reportaż *Barwy hetmanów i czerń SS* mistrza tego gatunku Krzysztofa Kąkolewskiego. Agenci – zdrajcy, których donosy poskutkowały ujęciem generała „Grotą”, byli również zamieszani w rozbitcie siatki Wywiadu Komendy Głównej AK. Niemcy aresztowali wówczas około stu pracowników wywiadu, zaś około stu innych całkowicie spalonych musiało opuścić Warszawę. Takie były koszty zdrady trzech osób: Eugeniusza Świerczewskiego, Blanki Kaczorowskiej i Ludwika Kalksteina. W czasie okupacji karę poniósł tylko Świer-

czewski, stracony zgodnie z wyrokiem Specjalnego Sądu Podziemnego AK, który podczas przesłuchania przyznał się do wydania około 200 osób. Jeszcze więcej zdradził Kalkstein, bo około 280 osób, pracujących dla akowskiego wywiadu w całej Europie. W ręce gestapo wpadł pułkownik Marian Drobik „Dzięcioł” – szef II Oddziału Komendy Głównej AK, zamordowany w sierpniu 1944 roku w Berlinie lub Sachsenhausen, podobnie jak generał „Grot”. Szczególnie dotkliwe były właśnie straty II Oddziału, czyli wywiadu i kontrwywiadu, którego praca przyspieszała upadek III Rzeszy, wystarczy choćby wspomnieć wykrycie rakiet V1 i V2 nazywanych tajną bronią Hitlera. Sądzeni po wojnie Kaczorowska i Kalkstein, który jeszcze zdążył zostać agentem UB, odsiedzieli w więzieniu po kilka lat<sup>10</sup>.

Przypominam o tym, byśmy mogli sobie uzmysłowić, jak olbrzymia była cena zdrady, koszty, jakie ponosiła konspiracja i cały naród za agenturalną działalność jednostek. Równie dotkliwe ciosy zdawane przez okupanta różnym kręgom konspiracyjnym i społeczeństwu ziemi kieleckiej miały ścisły związek z pracą agentów i donosicieli.

O zbrodniach radomskiego gestapo popełnianych z inspiracji lub na rozkaz Paula Fuchsa można napisać dużą książkę. Byłby w niej tylko mały rozdział o agentach, bowiem znana jest ich jedynie garstka, chociaż stanowili dość sporą grupę. Sumienia agentów i donosicieli obciążają pierwsze masowe egzekucje przeprowadzone w 1940 roku w Skarżysku-Kamiennej. Finałem tragicznej rozprawy z „Orłem Białym”, jedną z pierwszych organizacji konspiracyjnych, była seria egzekucji w dniach 12–16 lutego 1940 roku, dokonanych w lesie Bór, w których zginęło 360 polskich patriotów. Karol Kuźniar, najmłodsza ofiara, miał zaledwie 15 lat. Kolejna, gigantyczna egzekucja przeprowadzona 29 czerwca na Brzasku pochłonęła 760 ofiar. Pomordowani zostali zgodnie z założeniami i planem osławionej akcji A-B. Miała ona na celu likwidację polskiej warstwy przywódczej, co realizowano w sposób bezwzględny. Najgłośniejsze z nich, egzekucje dokonywane w podwarszawskich Palmirach, weszły do panteonu narodowej martyrologii. Na skarżyskim Brzasku ginęli ludzie z całej Kielecczyny. Przy kompletowaniu listy ofiar radomscy gestapowcy korzystali z wielu źródeł. Niewątpliwie sięgnęli do przejętych dokumentów polskiej administracji, ale cenne też były donosy konfidentów pozyskanych już w pierwszych miesiącach okupacji.

<sup>10</sup> W. Pronobis, *Generał „Grot”*. *Kulisy zdrady i śmierci*, [Warszawa 2014], s. 167.

Ciągłe egzekucje trwały na Firleju pod Radomiem, w lesie kosowskim, pod Siczkami. Ludzie ginęli w miejscach publicznych i w obozach koncentracyjnych zesłani tam na polecenie Fuchsa. Pokazową i spektakularną, jako ostrzeżenie dla Polaków, stała się seria egzekucji publicznych w Radomiu i na stacji kolejowej Rożki w 1942 roku. Była odwetem za wykrycie przemytu broni z miejscowej fabryki na potrzeby konspiracji. Zbrodnia powieszenia 50 osób, wśród nich dziewczyny w widocznej, zaawansowanej ciąży, w osobliwy sposób jest związana z osobą Maksymiliana Szymańskiego pseudonim „Relampago”, co po hiszpańsku znaczy błyskawica, wypróbowanego agenta Fuchsa. W pędzącym pociągu z Radomia w kierunku Końskich doszło do strzelaniny pomiędzy grupą bojową AK a niemiecką policją. Akowcy jechali wykonać wyrok na „Relampago”. Na wiadomość o tym planie, podaną przez agenta „Sadowskiego” do gestapo, Fuchs zarządził błyskawiczną akcję zatrzymania zamachowców. W wyniku strzelaniny, która wybuchła, gdy pociąg dojechał do stacji w Rożkach, zginął dowódca akcji, szef radomskiego wywiadu AK kapitan Jerzy Ewaryst Żetycki „Andrzej”, a trzech innych bojowców zostało rannych. W powstałym zamieszaniu w ręce niemieckie wpadły dwa pistolety „vis” wyprodukowane w radomskiej fabryce. Idąc po „nitce do kłębka”, Niemcy przeprowadzili masowe aresztowania w mieście. Ze szczególną zaciętością tropili osoby spokrewnione z członkami grupy dywersyjnej oraz podejrzane o przemykanie broni, zwłaszcza z rodzin Graboszków i Wińczewskich. Zbrodniczym finałem nieudanej akcji w pociągu były wspomniane publiczne egzekucje. Pomimo tych krwawych wydarzeń „Relampago” był wciąż na usługach gestapo. Na początku listopada w Końskich, na podstawie jego donosów, Niemcy przeprowadzili aresztowania w kilku punktach miasta. W czasie próby wyjścia z okrążenia zginął kapitan Stoiński „Górecki”, szef obwodu AK, i ppor. Tomir Tworzyński „Borsuk”. Szczęśliwie 9 aresztowanych osób następnej nocy odbiła grupa bojowa zorganizowana i dowodzona przez plut. pchor. pilota Zygmunta Wyrwicza „Cumulusa”. Tragedią było również i to, że Szymański piastował funkcję... szefa wywiadu i kontrwywiadu obwodu AK Końskie. Sprawiedliwa kula dosięgła zdrajcę dość szybko. Wyrok Sądu Specjalnego wykonano w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1942 roku<sup>11</sup>.

---

<sup>11</sup> W. Borzobohaty, „Jodła”. *Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK 1939–1945*, Warszawa 1984, s. 67.

Praca ludzi związanych z konspiracyjnym wymiarem sprawiedliwości była szczególnie odpowiedzialna i niebezpieczna. Niemcy za wszelką cenę chcieli zdobyć informacje, kto wydaje wyroki na wyjątkowo gorliwych okupacyjnych urzędników, zbrodniczych policjantów i oczywiście agentów. Gdy pozyskali przydatne doniesienia, zastawili sidła na sędziego Leona Reklewskiego „Tarnawę”. Prawnik rodem z opatowskiego, o nieskazitelnej postawie, był przewodniczącym Sądu Specjalnego Okręgu AK Radom – Kielce, o czym wiedziało bardzo wąskie grono osób. Niestety, Niemcy pozyskali tę informację. Zagrożony aresztowaniem sędzia Reklewski, który urzędował w Skarżysku-Kamiennej, przeniósł się do Warszawy. Poległ w powstaniu. Zemsta niemiecka dosięgła jego najbliższych. Stosując „ulubioną” zasadę odpowiedzialności zbiorowej, gestapowcy aresztowali żonę sędziego – Marię oraz ich córki Annę i Ewę. Deportowane do KL Auschwitz zostały stracone w dwutygodniowych odstępach czasu.

Szczególnym agentem radomskiego gestapo, niewątpliwie ulubieńcem Paula Fuchsa, była osoba, nie wiadomo kobieta czy mężczyzna, zarejestrowana jako numer 51 o pseudonimie „Bronisław Czark”. Dostarczała Fuchsovi, przekazywane następnie do Berlina, wnikliwe analizy oraz oceny nastrojów społecznych. Te wręcz socjologiczne opracowania dowodzą, że pisał je ktoś o wnikliwym umyśle i olbrzymiej wiedzy. W sferze domysłów pozostaje forma zapłaty temu agentowi (pieniądze, towar, a może jedno i drugie) za usługi świadczone nie tylko gestapo, ale też niemieckiej władzy okupacyjnej wysokiego szczebla.

Te informacje, wydobyte ze strzępów ocalonych dokumentów gestapo podaje Jan Pietrzykowski i raz jeszcze wystawia ocenę pracy agentów. „Działalność konfidentów – podkreśla Pietrzykowski – przynosiła polskiemu ruchowi oporu bardzo dotkliwe straty. Z każdą niemal akcją gestapo, od pierwszych aresztowań na przełomie lat 1939/1940, do ostatnich wystąpień niemieckiej policji w końcowym okresie okupacji, wiązały się nazwiska konfidentów. Dlatego też ujawnieni w taki czy inny sposób – byli oni bezlitośnie likwidowani”<sup>12</sup>.

Uwagi Jana Pietrzykowskiego można odnieść do okupacyjnej rzeczywistości w całym Generalnym Gubernatorstwie. Na kartach historii są obecne dowody działań agentów, niosące aresztowania, egzekucje, deportacje do obozów, pacyfikacje, jednym słowem zbrodnie, ale znacznie gorzej jest

---

<sup>12</sup> J. Pietrzykowski, *Hitlerowcy przed sądem w Częstochowie*, Katowice 1964, s. 10.

z ujawnieniem ich tożsamości, ich losów. Z Kielecczyny znamy jedynie nielicznych agentów i ich działalność, też zapewne tylko częściową, których nazwiska zostały ujawnione szerszej publiczności. Z kultowej książki Cezarego Chlebowskiego *Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie*, która w ciągu półwiecza miała około 10 wydań, ostatnie w 2017 roku, dość dobrze poznamy dwóch. Jednym jest osławiony „Motor” (Jerzy Wojnowski), niezwykle niebezpieczny i skuteczny agent radomskiego gestapo, któremu tak bezgranicznie i do końca ufał „Ponury”. Zdrada bardzo bliskiego przyjaciela to był niewątpliwie wielki, osobisty dramat Jana Piwnika. Często stawiane jest pytanie, jak to było możliwe, że „Ponury”, wytrawny i doświadczony konspirator, wbrew faktom wierzył „Motorowi”. Sądzę, że odpowiedzi należy szukać w systemie wartości, które wyznawał i zgodnie z którymi działał Jan Piwnik. Na naczelnych miejscach zapewne były honor, miłość Ojczyzny, lojalność i kierowanie się w życiu prawdą. Oto dlaczego „Ponury” nie mógł pojąć, przyjmując do wiadomości zaprzaństwa „Motora”.

Donosy Jerzego Wojnowskiego przyczyniły się do zagłady Michniowa, tragicznej oblawy na Wykusie okupionej śmiercią kilkudziesięciu partyzantów, wpadki w Wielkiej Wsi, śmierci „Robota”, „Czarki” i wielu innych konspiratorów, nieudanej próby aresztowania pułkownika „Nila”, szefa Kedywu Komendy Głównej AK. W tej palecie zbrodni pacyfikacja Michniowa zajmuje szczególne miejsce, bowiem wyjątkowo jak na zbrodnię na ludności wiejskiej zachowało się sporo niemieckich dokumentów. Są listy i inne dowody, świadczące o intensywnej pracy agenturalnej w Michniowie. Zapewne „Motor”, a być może także niejaki Orzechowski, ale czy tylko oni, wydali michniowian w ręce gestapo. Pytanie – czy wszyscy żołnierze podziemia, partyzanci przestrzegali żelaznych reguł konspiracji. Pytanie retoryczne. Jedna z konspiracyjnych reguł głosi, że należy przede wszystkim słuchać, a mówić jak najmniej.

O wiele wcześniejsze kontakty z Paulem Fuchsem miał Józef Kessler. To on do współpracy z gestapo zwerbował Jerzego Wojnowskiego. Gdy „Motor” pozostawał w kontaktach z placówkami gestapo w Radomiu i Kielcach, tak Kessler, agent „K-22”, na dobre zadomowił się w pierwszej z wymienionych. Niewątpliwie inteligentny Fuchs rychło rozpoznał umysłową bystrość Kesslera, który przed wojną imał się różnych zajęć. Był nawet burmistrzem Kocka, chlubnie zapisanego na kartach wrześniowej historii 1939 roku. To pod Kockiem już w październiku pod wodzą gen. Franciszka Kleeberga żołnierz polski toczył bój zamykający polską wojnę obronną, niejako ostatnią

kartę tej wojny. Agent „K-22” okazał się znakomitym prowokatorem – specjalistą od tworzenia organizacji konspiracyjnych, które były pod czujną opieką i pozostawały na usługach niemieckich. Na polecenie gestapo nawet wstąpił w szeregi AK, przy pomocy należącego do konspiracji szwagra, męża najstarszej siostry. Jako żywo ta sytuacja przywodzi na myśl konfidencką drogę „Spóźnionego”, który donosił i przyczynił się do śmierci swojego szwagra – Antoniego Cichockiego. Niewątpliwie do dużych sukcesów Kesslera należy wpisanie Jerzego Wojnowskiego do kartoteki agentów gestapo. Na „Motorze” wyrok wykonano, Kessler przeżył wojnę i jako „Kruszewski” został agentem Urzędu Bezpieczeństwa. Sądzony, skazany za współpracę z gestapo po odbyciu części kary ponownie znalazł się w orbicie zainteresowań Służby Bezpieczeństwa. Trudno dociec, ilu agentów niemieckich kontynuowało służbę w strukturach UB/SB, ale na pewno Kessler nie był wyjątkiem.

Wszystko wskazuje, że „Motor” podjął współpracę z okupantem wiosną 1943 roku, co zbiegło się z objęciem placówki gestapo w Kielcach przez kapitana SS Karla Essiga, który do miasta nad Silnicą przybył wprost ze szkoły policyjnej w Furtsenbergu. Essig jak najszybciej musiał się wykazać spektakularnymi osiągnięciami, bowiem w pamięci miano wielki sukces poprzedniego szefa, który aresztował pułkownika Janusza Albrechta, szefa sztabu Komendy Głównej ZWZ. Ujęcie tak wysokiego rangą oficera z dowództwa polskiej konspiracji nastąpiło na skutek donosu konfidenta rotmistrza Przemysława Deżakowskiego, który w latach międzywojennych był podwładnym pułkownika. Po kilku tygodniach pobytu w kieleckim więzieniu Albrecht został zwolniony i wyjechał do Warszawy. Oczywiście celowo, cały czas pozostając pod baczna obserwacją agentów gestapo. Pułkownik Albrecht otrzymał do wypełnienia misję przekonania komendanta ZWZ – generała „Grotę” do „lojalnej współpracy organizacji podziemnych” z władzami niemieckimi. Co było do przewidzenia, ten kuriozalny pomysł spalił na panewce. Pułkownik Albrecht otrzymał dwie propozycje: wykonanie ciężącego na nim wyroku śmierci Polski Podziemnej bądź honorowe samobójstwo. Wybrał to drugie rozwiązanie.

Nie minęło wiele czasu, gdy Essigowi nadarzyła się okazja przeprowadzenia wielkiej akcji. Rozpoczął przygotowania do unicestwienia wszelkimi możliwymi środkami świętokrzyskiej partyzantki, dynamicznie rozwijającej się pod wodzą cichociemnych, „Ponurego”, „Nurta”, „Robota”. Przy planowaniu uderzenia Essig i jego ludzie niewątpliwie korzystali z do-

robku kieleckiej pajęczyny donosicieli, równie misternej i gęstej jak radomska, też bardzo wydajnej. Oprócz operacyjnej roboty, przygotowującej rozprawę z „Ponurem” i jego żołnierzami, w kieleckim gestapo trwała „normalna”, zwyczajna praca. Dzięki donosom, również listowym, i gorliwości agentów, których nazwisk pewnie nigdy nie poznamy, aresztowano wiele ukrywających się osób, wnet rozstrzelanych na kieleckim stadionie leśnym bądź zesłanych do obozów koncentracyjnych. Liczne pacyfikacje wsi w rejonie Łysogór zawsze były precyzyjnie przygotowane. To nie były uderzenia na oślep. W pierwszej kolejności akcji pacyfikacyjnej zabijano ludzi, których nazwiska figurowały na listach proskrypcyjnych.

W maju 1943 roku kieleckie gestapo dokonało aresztowań w miejscowościach położonych na pograniczu powiatów kieleckiego i koneckiego. W Serbinowie niemieccy policjanci w płonącej żagiew zamienili jedno z zabudowań, w których spłonęły zwłoki wcześniej zastrzelonych 12 osób, „wyjątkowo niebezpiecznych wrogów III Rzeszy”, trzech kobiet i dziewięciorga dzieci, z których najstarsze miało 10 lat. Kolejnej zbrodni, tego samego dnia, dokonano w pobliskiej Raszówce. W domu stojącym samotnie na zakręcie szosy siłą zamknięto 35 osób, dzieci, kobiet, mężczyzn. W obłożonym chrustem i podpalonym budynku spłonęli żywcem. W trzy tygodnie później, w połowie czerwca 1943 roku akcja o podobnym scenariuszu została przeprowadzona w Pogłodowie. W pierwszej kolejności żandarmi z I zmotoryzowanego batalionu żandarmerii, który podlegał Essigowi, prowadzeni przez konfidenta w lesie pod Mniowem osaczyli partyzancki bunkier. Sześciu zaskoczonych partyzantów zginęło po krótkiej walce. Po zakończeniu tej akcji Niemcy aresztowali kilkadziesiąt osób w pobliskim Pogłodowie. 18 wybranych osób, w tym tylko dwóch mężczyzn, zginęło w podpalonej stodole. Rozprawa z Michniowem i ze zgrupowaniem „Ponurego” zbliżała się wielkimi krokami...

We wspomnianej akcji pod Mniowem widziany był as kieleckich agentów, popularnie zwany „Szpicbródką”. Nazywał się Franz Wittek i bardzo sprawnie kierował jedną z siatek agenturalnych kieleckiego gestapo. Niewątpliwie Wittek był jednym z najbardziej niebezpiecznych agentów, działających w dystrykcie radomskim. Jego pracę nadzorował gestapowiec Franz Czok. Z czasem panowie zostali przyjaciółmi. Wittek to postać tajemnicza, o nieustalonej narodowości, ponoć Chorwat, i nie do końca rozpoznany życiorysie. W czasie okupacji krążyła w Kielcach pogłoska, że uczestniczył w dokonanym w 1934 roku w Marsylii zamachu na króla Jugosławii i fran-

cuskiego ministra Barthou, a nawet w zabójstwie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie. Tę ostatnią sensację należy włożyć między bajki, bowiem w roku tego wydarzenia – 1914 – urodzony w Budapeszcie Wittek miał 4 lata, również druga historia nie jest taka oczywista. W każdym razie po marsylskim zamachu miał uciec z Francji. Tułał się po Hiszpanii, Argentynie, Związku Sowieckim i pod koniec lat 30. osiadł w Polsce. Niewykluczone, że wówczas nawiązał kontakt z mieszkającym w Bielsku-Białej Rudolfem Wiesnerem, założycielem Niemieckiego Związku Narodowo-Socjalistycznego w tym mieście, a przez niego z niemieckimi służbami wywiadowczymi.

Świątokrzyska przygoda Wittka rozpoczęła się wiosną 1939 roku. Nie spodziewanie w czerwcu został pracownikiem Zakładów Starachowickich, jak wiadomo mających duży dział produkcji wojskowej. Może pomógł mu w tym niemiecki wywiad? Przecież na jakiejś podstawie zaczął funkcjonować przydomek Wittka – „Diabeł V kolumny”. Niemcy, o czym też warto pamiętać, penetrowali nasz kraj nie tylko od strony przemysłu zbrojeniowego. Mieli na przykład doskonałe rozeznanie, gdzie znajdują się dzieła sztuki, które należy wywieźć do ich kraju. Wywozili je i to masowo w latach okupacji, poczynając od słynnego ołtarza z kościoła Mariackiego w Krakowie. Wittek na wojnę nie poszedł. Jesienią 1939 roku był widywany w rejonie Łysogór, gdzie czasowo mieszkał w Mirocicach. Wówczas zetknął się z nim Wacław Mądzik, jedna z powojennych ofiar „Spóźnionego”. Niebawem Wittek został zauważony w miejscach pobytu majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, dlatego jest podejrzewany o donoszenie o ruchach oddziału. Rezultat tych poczynań jest znany. Stosując ulubioną zasadę odpowiedzialności zbiorowej, niemieckie siły policyjno-wojskowe w czasie rozprawy z oddziałem majora „Hubala” spacyfikowały ponad 30 miejscowości i zabiły około 800 osób, zaledwie w ciągu jednego tygodnia!

W agenturalnej działalności Wittka szczególnie aktywny, by nie powiedzieć bogaty był rok 1943, pamiętny największymi i najbardziej krwawymi pacyfikacjami, których zaczynem stały się konfidenckie donosy Wittka i jego ludzi. Tegoż roku wiosną w Nowej Słupi i Świętej Katarzynie kwaterował 62. pluton zmotoryzowany żandarmerii niemieckiej dowodzony przez porucznika Alberta Schustera. Dla mieszkańców wsi i przysiółków w rejonie Łysogór przybycie żandarmów, o czym przecież nie wiedzieli, było początkiem terroru i gehenny, jakich we wcześniejszych latach okupacji nie doznali. Ciągłe aresztowania, egzekucje i liczne akcje pacyfikacyjne powodowały, że ludzie dosłownie nie byli pewni dnia ani godziny. Do lata,

od 6 marca do 2 lipca, daty pierwszej akcji pacyfikacyjnej w Bartoszowinach i ostatniej w Klonowie, w 12 wsiach niemieccy żandarmi zamordowali prawie 200 osób z polecenia, a bywało też, że przy udziale kieleckiego gestapo. W czasie śledztwa Schuster zeznał, że na polecenie kieleckiej placówki dokonał egzekucji w Jeziorku, Psarach Podlesiu, Bodzentynie, Hucie Szklanej i Woli Szczygiełkowej. W czasie rozprawy sądowej ustalono również, że z polecenia kieleckiego gestapo żandarmi Schustera także rozstrzelali mieszkańców Dębna. W innych zbrodniczych akcjach przeprowadzonych przez 62. pluton w Celinach, Dębnie Hary, Kakoninie, Krajnie i Klonowie byli obecni funkcjonariusze kieleckiej policji. Za popełnione zbrodnie Albert Schuster został osądzony i skazany na karę śmierci przez sąd w NRD w 1972 roku. Podstawą aktu oskarżenia były dowody zebrane w śledztwach prowadzonych przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich i Prokuraturę Wojewódzką w Kielcach.

Przesłuchiwany przez władze śledcze Schuster potwierdzał zeznania świadków i dokładnie opisał zbrodnicze akcje, które w zasadzie przebiegały według ustalonego schematu. „W czasie przeszukiwania wsi – zeznał dowódca 62. plutonu – było regułą, że osoby przez gestapo umieszczone na listach były uznawane za partyzantów i rozstrzeliwane. Nie miałem żadnego powodu, by osoby te przed rozstrzelaniem przesłuchiwać”. Motywy listy pojawia się również w innych fragmentach zeznań Schustera. Ciekawy przypadek miał miejsce 1 czerwca 1943 roku w Bodzentynie, w czasie największej zbrodniczej akcji 62. plutonu. Nazwiska prowadzonych na egzekucję były wyczytywane trójkami i tak ich rozstrzeliwano. Gdy skończyły się nazwiska umieszczone na liście, zapewne nigdy nie dowiemy się, ile ich było, dalsze ofiary wybierano z szeregu. Po odjeździe żandarmów 39 zmasakrowanych ofiar plutonu Schustera pochowano w zbiorowej mogile na miejscowym cmentarzu. W latach powojennych stanęła na niej strzaskana kolumna, symbol przerwane nagle życia.

Niezależnie od akcji przeprowadzanych we wskazanych przez gestapo miejscowościach, żandarmi dokonywali częstych aresztowań osób podejrzanych o konspirację bądź kontakty z partyzantką. Zatrzymanych rozstrzelali w okolicach Słupi i Świętej Katarzyny. Pluton Schustera uczestniczył w pacyfikacji Michniowa<sup>13</sup>.

---

<sup>13</sup> L. Kaczanowski, *Działalność 62 plutonu zmotoryzowanego żandarmerii*, Kielce 1973.

Listy osób przeznaczonych do rozstrzelania, które Schusterowi dostarczało gestapo, były owocem pracy stałych agentów i przygodnych donosicieli. Ich działania miał pod swoją pieczę Franz Wittek. Znał świetnie rejon Łysogór, biegle mówił po polsku i niemiecku, a to były atuty nie do przecenienia. Dbał o podnoszenie szpiegowskich umiejętności swoich podopiecznych. W Kielcach zorganizowano dla nich specjalną szkołę i przeprowadzono okresowe kursy. Jednego z kursantów, konfidenta Mariana Pokleta, zlikwidował oddział BCh Mieczysława Młudzika „Szczytniaka”. Przed egzekucją Poklet przyznał, że za każdego „nadanego” żandarmom Polaka otrzymywał – oprócz przydziałów i 24 złotych dziennie – po 200 złotych od głowy.

Akowski kontrwywiad dość szybko rozszyfrował Wittka, który w Kielcach mieszkał w dzielnicy niemieckiej i dość ostentacyjnie pokazywał się towarzystwie umundurowanych policjantów. O zamachu na Wittka krążyły legendy już w czasie okupacji. Nie bez racji mówiono o jego diabelskim szczęściu. Niewiele brakowało, aby powiódł się zamach 6 lipca 1943 roku dokonany przez grupę bojową Stefana Fąfary „Dana” z oddziału AK Wybranieckich. Wittek został wówczas ciężko ranny. Doktor Kalisz, który go operował, wyjął z ciała agenta 14 kul. W czasie operacji wyszło na jaw, że Wittek nosił kuloodporną kamizelkę. Jacyś „wtajemniczeni” dodawali, że był to osobisty prezent od Hitlera. Wydany w drugim roku okupacji wyrok na agenta, którego wykonanie podejmowano wielokrotnie, skutecznie został sfinalizowany dopiero 15 czerwca 1944 roku. Wittek został zastrzelony w Kielcach, w pobliżu siedziby gestapo, w domu, w którym mieszkał. Niestety, zamach został okupiony ofiarami wykonawców. Poległ dowódca akcji cichociemny ppor. Kazimierz Smolak „Nurek” – lat 29, zginął 17-letni żołnierz konspiracji Roman Kacperowicz „Szarada”. Osłaniając ciężko rannego ppor. „Nurka” oddali swe życie trzej żołnierze sekcji egzekucyjnej: Władysław Malinowski „Biały” – lat 24, Józef Mojecki „Sikorka” – lat 29, Jan Matyjek „Ares” – lat 20. Ciężko ranny został Janusz Likowski „Milcz”, lżej Jan Karaś „Karol”, który zginął dwa miesiące później w czasie innej akcji przeciw okupantowi. Ranny był również czwarty żołnierz osłony ppor. „Nurka”, Władysław Dziewiór „Skazaniec”. Na polecenie Niemców zwłoki poległych partyzantów pochowano na cmentarzu żydowskim. Po wojnie wszyscy zostali ekshumowani i przeniesieni na Cmentarz Stary w Kielcach, przez współorganizatora zamachu na Wittka sierż. Stanisława Reczyńskiego „Ryngra”. Wykonawcy akcji zostali podani do odznaczenia krzyżami Vir-

tuti Militari V klasy. Zmora niebezpiecznego agenta przestała spędzać sen z powiek ludziom konspiracji.

Podobnie jak ze sprowadzeniem prochów „Ponurego”, lata trwały w Kielcach starania o upamiętnienie poległych w zamachu na Wittka. Walczący o to, uparci do końca społecznicy ze świetlanej pamięci Ludwikiem Godkiem na czele niezmiennie słyszeli słowa: „Nie i już!”. Dopiero przed przełomem 1989 roku na obrzeżach kieleckiego parku posadowiono skromną płytę, na której znalazło się miejsce jedynie na nazwisko dowódcy akcji porucznika „Nurka”, pozostali polegli na taki zaszczyt nie zasłużyli. Ta historia również zasługuje na przypomnienie i opisanie w wolnej Polsce.

Innym groźnym agentem, powiązany z kieleckim gestapo, był Wincenty Smelcerz, który na początku lat 60. minionego stulecia stanął przed Sądem Wojewódzkim w Kielcach. Któregoś, kolejnego dnia rozprawy, co wywołało niemalą sensację, sprężystym krokiem wszedł na salę mężczyzna ubrany w wyjściowy mundur generalski. Wezwanym świadkiem okazał się generał Franciszek Książarczyk, ówczesny dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego, w latach okupacji partyzant Gwardii Ludowej. Spojrzał na ławę oskarżonych i donośnym głosem oświadczył: „Towarzyszu Kacper, 20 lat czekałem, żeby was zobaczyć w tym miejscu”. „Kacper” to był pseudonim Wincentego Smelcerza z tytułu przynależności do GL. W tym samym czasie Smelcerz był zarejestrowany w gestapo jako agent numer 148 o pseudonimie „Hugon Pierzyna”. Z akt i przebiegu rozprawy wynikało niezbiecnie, że na skutek donosów „Pierzyny” zginęło wiele osób kieleckiej konspiracji spod znaku GL, a także AK. Skazany na dożywocie doczekał się złagodzenia kary przez Sąd Najwyższy.

W przedziwny sposób działania agenta numer 148 splotły się z historią niektórych żołnierzy Zgrupowania AK „Ponurego”. Ten epizod ma związek z bodaj największym sukcesem „Pierzyny”, przyczynieniem się do rozbicia w połowie maja 1943 roku w lasach Puszczy Świętokrzyskiej, w pobliżu wsi Zalezianka, oddziału GL „Narbuta”. Szczęśliwie z obławy udało się wyjść grupie partyzantów dowodzonej przez Władysława Wasilewskiego „Oseta”, chętni do dalszej walki z okupantem zgłosili się do „Ponurego”. Porucznik Piwnik bez najmniejszego wahania, nie pytając nikogo, przyjął młodych chłopców pod swoje skrzydła. W niespełna trzy miesiące później „Oset” poległ w potyczce z żandarmerią niemiecką. Od paru lat jest patronem ulicy w Skarżysku-Kamiennej. Trochę prowokacyjnie zastanawiam się, od którego momentu należy liczyć czas jego walki z okupantem, czy jest w nim

miejsce na konspirację oraz obecność „Oseta” w szeregach GL? To kolejne meandry polskiego losu dyktowane przez wydarzenia lat wojny i okupacji... Świętą biografię tego partyzanta, który w chwili śmierci miał zaledwie 22 lata, napisał dr Marek Jedynak, młody, przebojowy historyk, już ceniony znawca dziejów świętokrzyskich zgrupowań partyzanckich, autor wielu innych wartościowych opracowań. Oby mu nigdy nie zabrakło zapału do badań naukowych oraz dochodzenia i odkrywania prawdy o naszej najnowszej historii<sup>14</sup>.

Wittek, „Motor”, Kessler, „Pierzyna” – to najbardziej znane postaci ze świętokrzyskiego świata agentów. Nazwiska innych, całkowicie zapoznanych, pojawiają się na kartach okupacyjnych, partyzanckich wspomnień. Wielu z nich zdołano unieszkodliwić. Ginęli na mocy wyroków Polski Podziemnej, ale wyrządzonych przez nich szkód w żaden sposób zliczyć nie można. Jak obliczył profesor Leszek Gondek, w okresie okupacji sądy podziemne wydały około 2 500 wyroków śmierci. Posiedzenia sądów, co zrozumiałe, odbywały się w absolutnej konspiracji. Nie było rozpraw z udziałem publiczności. Wyroki miały klauzulę natychmiastowej wykonalności. Czy mogło dojść do pomyłek? Raczej mało prawdopodobne, chociaż tego wykluczyć nie można. Wszak pamiętajmy, że chybione wyroki zdarzają się przy legalnym funkcjonowaniu sądów, które po latach są korygowane. Szczególnie okrutne było posądzenie kogoś o zdradę na skutek fałszywych pomówień czy niesprawdzonych insynuacji.

W takiej tragicznej sytuacji osoby podejrzanej o współpracę z gestapo pozostawał pochodzący z Michniowa Hipolit Krogulec (1914–1982). Żołnierz Września 1939 w 4. Pułku Piechoty Legionów, był jednym z głównych organizatorów konspiracji antyniemieckiej na ziemi świętokrzyskiej. Współtworzył i kierował Związkiem Odwetu oraz Kedywem Okręgu AK Radom-Kielce. Gdy wiosną 1943 roku „Ponury” został skierowany w Świętokrzyskie nie przybył na jałową ziemię, wprost przeciwnie, zastał dobrze i sprawnie działające ogniwa konspiracji. W ramach Związku Odwetu zostało zorganizowanych 25 plutonów dywersyjno-bojowych o sile około 1 250 żołnierzy, do powstania których wybitnie przyczynił się Krogulec. To był mocny fundament dla zgrupowania partyzanckiego, które zamierzał stworzyć „Ponury”. Krogulec „Albiński”, „Poldek” został w Kedywie zastępcą

---

<sup>14</sup> M. Jedynak, *Władysław Wasilewski „Oset”, „Odrowąż” (1921–1943)*, Kielce 2016.

„Ponurego”, któremu przekazał kierownictwo w nowo utworzonym zgrupowaniu partyzanckim. Niewątpliwie należał do głównych postaci świętokrzyskiej konspiracji w jej pierwszym okresie. Ale na kartach kolejnych wydań książki Cezarego Chlebowskiego próżno szukać jego nazwiska czy pseudonimów. Jednak dla każdego, kto interesuje się okupacyjną historią Kielecczyzny jest wiadome, kogo autor ukrył pod kryptonimem „ppor. B.”.

Dla wielu Hipolit Krogulec jawi się jako prawy człowiek i zasłużony żołnierz konspiracji. Ale są również tacy, czy raczej byli, bo przecież wystygły już boje i aktorzy tamtych wydarzeń przeszli do wieczności, dla których raczej został zapamiętany jako akowiec ze skazą. A ta rysa, w swoim czasie bardzo mocna, sprowadza się do podejrzenia go o współpracę z gestapo i komitewę z „Motorem”, faktycznym zdrajcą i agentem. Krogulca bardzo bolały oceny odnoszące się do jego osoby zawarte w książce *Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie*. Oczywiście nigdzie nie pada stwierdzenie o agenturalnych powiązaniach „Albińskiego”. Z prostej przyczyny, bowiem nie ma na to nawet najmniejszego dowodu. Stawiane w tej kwestii znaki zapytania były zwykłymi insynuacjami.

Zajmowałem się tą kwestią przed laty. Studiowałem literaturę i dokumenty. Przeprowadziłem dziesiątki rozmów, m.in. z pułkownikiem Wojciechem Borzobohatym, autorem pomnikowego opracowania *Jodła*, z inż. Kazimierzem Czerniewskim „Korebko”, legendarnym twórcą suchedniowskich stenów (polubił mnie bardzo, bowiem jego pierwsza żona była z domu Kaczanowska), z oficerem zgrupowań Jerzym Stefanowskim „Habdankiem”, a na koniec konsultowałem sprawę z sędzią Andrzejem Jankowskim, niekwestionowanym autorytetem i najlepszym znawcą okupacyjnej historii Kielecczyzny. Pan sędzia podzielił mój pogląd, że w świetle ustalonych faktów Hipolit Krogulec nie mógł być agentem gestapo. Przypadek wystawienia Niemcom inżyniera Czerniewskiego przy udziale Krogulca, a to koronny zarzut jego współpracy z gestapo, mija się z prawdą. Aresztowanie twórcy stenów było następstwem donosu „Motora”, a wikłanie w tę sprawę „Albińskiego” jest wyssaną z palca nadinterpretacją. Po latach rozmawiałem o tej sprawie również z Cezarym Chlebowskim. Przyznał mi rację, ale określił Krogulca jako człowieka naiwnego i łatwowiernego. No cóż, miał prawo do takiej oceny, bowiem całym sercem i piórem był po stronie „Ponurego”, którego wykreował na największego partyzanckiego dowódcę w całej okupowanej Polsce. Oczywiście nie ma co ukrywać, że były rozdźwięki między „Albińskim” a „Ponurym”. Nasiliły się po pacyfikacji Michniowa, bowiem, Krogulec

wręcz obarczył „Ponurego” odpowiedzialnością za sprowokowanie drugiego dnia zbrodniczej akcji nocnym atakiem partyzantów na niemiecki pociąg. Niewątpliwie drugi dzień zagłady Michniowa, który przebiegał pod hasłem „pał i morduj wszystko, co żyje”, był odwetem za tę akcję.

Bez wdawania się w szczegóły przytoczę parę faktów, świadczących na korzyść Krogulca. Aresztowany w Warszawie w czerwcu 1944 roku, z wyrokiem śmierci został zesłany do oświęcimskiego obozu. Czy tak postępuje się z agentem dobrze umocowanym w konspiracji, w podminowanej Warszawie, w której lada moment mogło wybuchnąć powstanie? Krogulec przeżył obozową gehennę i tuż po wojnie, we Włoszech wstąpił do Wojska Polskiego. W rok od zakończenia wojny wrócił do kraju. Gdyby był agentem takiego kroku zapewne by nie ryzykował. Ale doczekał się śledztwa po doniesieniu inż. Czerniewskiego. Zakończyło się umorzeniem. A przecież doskonale wiemy, jaka była polityka ówczesnych władz wobec akowców. Cięń podejrzenia mógł się skończyć wyrokiem skazującym. Władze bezpieczeństwa, dysponujące poniemieckimi archiwaliami, nie znalazły w nich choćby najmniejszego śladu przeciwko Krogulcowi. Ważne były też zeznania świadka, pułkownika Zygmunta Szewczyka „Bartka”, szefa wywiadu i kontrwywiadu Kielecko-Radomskiego Okręgu AK. Z tytułu swej funkcji wiedział „wszystko” o ludziach z konspiracji. W jego olbrzymiej wiedzy, zapewne nie tylko pamięciowej, ale też podpartej dokumentami, nie było szufladki z napisem „Krogulec – agent gestapo”. Pułkownik Szewczyk był wyjątkowo wiarygodny, bowiem przeszedł na służbę w sowieckim wywiadzie. Więc jeżeli miałyby jakiegokolwiek materiały obciążające, to by je natychmiast udostępnił, chcąc wykazać swoją sprawność i przydatność, wiedząc doskonale, jak Rosjanie są wyczuleni na zdradę i służenie Niemcom.

Po wypuszczeniu z aresztu Krogulec nie angażował się w żadną powojenną konspirację, ale pomimo to był nachodzony przez funkcjonariuszy UB, zatrzymywany i przesłuchiwany. Współpracy odmówił. Często zadawano mu pytanie, gdzie ma schowaną broń i amunicję. Jakaś zagadka kryła się w tym pytaniu, być może formułowanym w oparciu o fałszywe informacje podane przez kogoś dla zatarcia prawdziwego śladu. Dochodzę do takich przemyśleń po lekturze opracowania Stefana Skwarka, w którym podaje on, że w lipcu 1945 roku w lasach suchedniowskich Krogulec „Albiński” zgromadził liczący 50 osób oddział uzbrojony w 18 karabinów maszynowych, 100 pistoletów maszynowych oraz 3 piaty, który miał uczestniczyć w rozbięciu kieleckiego więzienia. Pewnie autor znalazł taką czy podobną informa-

cję w archiwaliach UB, do których miał dostęp jako funkcjonariusz urzędu. Wedle tego, co podaje Skwarek, chłopcy „Albińskiego” byli faktycznie uzbrojeni po zęby, mniejsza o to, czy daliby radę dźwigać takie ciężary. Ale to mało ważne, natomiast istotne, że w lipcu 1945 roku Krogulca nie było w kraju, wrócił wiosną następnego roku. Przy całym krytycyzmie do książek Skwarka nie sądzę, by posunął się do aż tak „księżycowych” zmyśleń. Zapewne znalazł jakąś notę w aktach, której nie zweryfikował, a być może ją dodatkowo ubarwił. Jeden z historyków skomentował krótko tę rewelację: „To cały Skwarek”.

Krogulec wierzył w przemiany, które miały nadejść po październiku 1956 roku. Na fali entuzjazmu wystąpił z wnioskiem do władz o nadanie wsi Michniów krzyża *Virtuti Militari*. O naiwny i łatwowierny! Oczywiście jego pismo pozostało bez odpowiedzi. Dopiero 20 lat później, w lipcu 1977 roku Michniów został odznaczony Krzyżem Grunwaldu nie najwyższej, ale III klasy. Na tyle władza wyceniła krew partyzantów AK i popioły ofiar zagłady. Jeszcze przez następne 10 lat trwały zabiegi o sprowadzenie szczątków „Ponurego” do kraju.

Mijały lata, „pokolenia czas pochłonał”, sprawa „ppor. B.” wyblakła, przycichła, ale nie do końca. W lutym 1993 roku Zarząd Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK w Kielcach opublikował następujący dokument:

Zarząd Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK w Kielcach, po zbadaniu sprawy Prokuratury Sądu Okręgowego w Kielcach, sygn. VII Ds. 479/47 oraz Prokuratury Sądu Okręgowego w Warszawie, sygn. Ds. 1719/47 i znajdujących się w tych aktach zeznań i oświadczeń osób zajmujących w organizacji AK znaczące stanowiska, po zasięgnięciu opinii szeregu Kolegów z terenów Kielc, Skarżyska i Suchedniowa, stwierdza, że brak jest dowodów pozwalających na postawienie p. Hipolitowi Krogulcowi ps. „Albiński” zarzutu jakiegokolwiek współpracy z okupantem.

Podpisali dokument prezes Zarządu Okręgu ppłk Kazimierz Załęski „Bończa” i wiceprezes ppor. Henryk Ziółkowski „Lech”.

Zajrzałem do ostatniego, z 2017 roku, wydania *Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie*. Z nadzieją myślałem, że może wreszcie będzie powiedziane, kto jest ukryty pod kryptonimem „ppor. B.” i przy okazji pojawi się kilka słów prawdy o Hipolicie Krogulcu. Doczekałem się! Jak można przeczytać na stronie śródtytułowej książki, przedmowa oraz uzupełnione przypisy

i aneks o stanie osobowym Zgrupowań Partyzanckich są autorstwa wspomnianego już przeze mnie dr. Marka Jedyńaka, upartego tropiciela meandrów naszej najnowszej historii. Młody, świetny historyk zasłużył na pochwałę. Na stronach 173–174 książki, pięknie wydanej przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, dr Jedyńak przedstawił prawdziwy, wolny od niedomówień konspiracyjny i powojenny życiorys Hipolita Krogulca „Albińskiego”. Bravo i dziękuję. W tym miejscu nie mogę sobie odmówić osobistego wątku. Gdy z górą 30 lat temu, ależ ten czas życia bieży, w prasie regionalnej pisałem o sprawie „ppor. B”, obok słów uznania, jako „pierwszemu obrońcy »Albińskiego«”, posypały się na mnie gromy w stylu „przecież Chlebowski napisał”... Taka była potęga oraz zauroczenie, zresztą i słusznie, książką *Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie...* Hipolit Krogulec – gdyby żył – mógłby spokojnie powiedzieć: moje za grobem będzie zwycięstwo. I tak się stało.

Powojenny system szpiclów i donosicieli był dobrze umocowany w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego oraz w jego agendach – terenowych, wojewódzkich i powiatowych urzędach bezpieczeństwa. Właśnie w tym systemie, jednym z filarów nowej władzy, przez całe lata funkcjonował Tadeusz Kalita, autor i „bohater” książki *pieczołowicie*, jeszcze raz podkreślmy, przygotowanej przez Jerzego Mazurka. Niewątpliwie „Spóźniony” jest jej „głównym autorem”, bowiem trzon publikacji stanowią jego donosy pisane przez lata i systematycznie dostarczane do ostrowieckiej placówki UB/SB. Myślę, że nie był agentem w klasycznym rozumieniu tego pojęcia. Jakże często bowiem, o czym wiemy z historii, agenci działali w szlachetnej, dobrej sprawie i nawet zasłużyli na miano bohaterów narodowych.

W świetle pisaniny dostarczanej organom tzw. władzy ludowej, w minioniej epoce określanej jako robotniczo-chłopska, „Spóźniony” jawi się jako regularny donosiciel, a nawet zwyczajny kapuś. Niektóre jego, pożałuj się Boże, meldunki są jakby rodem z magła, plotkarskie. Ot, pisze Kalita, że na wsi opowiadają o kochance prezydenta Bieruta, oczywiście dawnej dziedziczce, która – rzecz jasna – go nie kocha, ale poświęca się, żeby pomagać ludziom. To jest „pisarski” smaczek Kality. Niezwykle cenne jest natomiast, że przez lekturę donosów poznajemy gęstą, podminowaną, nerwową atmosferę wsi, czego nie odda nawet najlepsza monografia naukowa, wsi straszonej kołchozami, dźwigającej ciężar obowiązkowych dostaw, przeżywającej rewizje i aresztowania. Kalita w donosach, meldunkach, raportach agenturalnych, mniejsza w tym przypadku o nazwę, *pieczołowicie* przedstawia jego zdaniem (również mocodawców!) „ujemne zjawiska na odcinku

wsi”, jak literacko puentuje wiejską rzeczywistość. Donosy „Spóźnionego” są autentycznymi dokumentami z epoki, bezcennymi źródłami. Opatrzone klauzulą „ściślej tajności” nigdy nie miały być ujawnione. Autor donosów i jego bezpieczniacy opiekunowie zapewne w najczarniejszych snach nie przypuszczali, że ich agenturalna robota ujrzy światło dzienne, a jednak tak się stało.

Z meldunku Kality: „Dzisiaj jest bardzo wzmożony wywiad w każdej wsi. UB musi mieć przynajmniej 3 ludzi, którzy tylko się zajmują podsłuchiwaniem, co kto mówi”. Te słowa mieszkanki Kosowic usłuznie odnotowuje „Spóźniony”. Są też donosy jakby pisane przez gorliwego neofitę przypominającego bohatera filmu Andrzeja Munka *Zezowate szczęście*, genialnie zagranego przez Bogumiła Kobięłę. W jednym z nich „Spóźniony” pryncypialnie krytykuje prelegenta, który na wiejskim zebraniu „bezpośrednio powiedział, że każdy musi odstawić mleko i zboże, bo jak nie to spotkają ludzi wielkie sankcje i kary, a nawet już MO łapie kobiet sprzedających masło”. Według oburzonego Kality, który całkowicie popierał działania państwa, prelegent winien „bardzo delikatnie wyjaśnić dobry cel wszystkich dostaw”. W Kalicie odezwała się dusza propagandysty, gdy donosił: „Poniżej podaję fakty manewrów wrogów ludu i metody kułackie i kumoterskie, jakie istnieją na gromadzie w Kosowicach w związku z przeprowadzeniem klasowania ziemi”. We wsi „gospodarują (...) naprawdę po kułacku (...). Bo taki spekulant stara się w różny sposób nie oddać państwu, a wywieźć na czarny rynek i obłowić się kosztem robotnika”. To fragmenty „Doniesienia agenturalnego” z lipca 1952 roku, jak nazwał donos „Spóźniony”, w którym ponadto, zachowując „czujność rewolucyjną”, donosi UB na... funkcjonariusza UB obywatela Muchę. To jeden z meldunków, w których Kalita całkiem bezwiednie ukazuje grozę i tragizm tamtych dni. Według „Spóźnionego” „Obywatel Mucha zdradza tajemnice służbowe do swej teściowej, a ta z kolei znów gada do swych kumoszek i w ten sposób rozsiewa się po okolicy”. Mucha mówił prawdę. Opowiadał o częstym biciu w UB aresztowanego Michała Cichockiego.

Wielkie nadzieje Polaków budziły wydarzenia październikowego przełomu 1956 roku. Trzeźwo myślący chłopci nie byli jednak do nich nastawieni zbyt optymistycznie. „Spóźniony” skwapliwie przekazał rozumowanie mieszkańca Mominy, który powiedział wprost: „Nie ma co liczyć na zmiany, które są obecnie, bo nic dobrego nie wróżą. Komuna utracą wszelką zdrową opozycję. Mikołajczyk chciał polepszenia doli chłopów, to musiał

uciekać”. Inny obywatel „jest uległy propagandzie, która krytykuje Ustrój Ludowy i chwala dobrobyt amerykański”. Po uchynieniu rąbka tajemnicy o zbrodniach stalinowskich zdaniem jednego z mieszkańców Kosowic „Związek Radziecki jest zmuszony zmienić politykę i podporządkować się USA”. A w ogóle to mieszkańcy Kosowic, tu wymieniony szereg nazwisk, „powtarzają jakoby rząd PRL godzi w chłopa”. Na szczęście mieszkańcy wioski objętych kuratelą „Spóźnionego” nie tylko wielką polityką żyli. Któregoś wiosennego dnia doniósł, że „We wsi Stryczowice są dwie spelutki (!) sprzedaży wódki u Walczyńskiego i Jopa”. Zabrzmiało to trochę poetycko, z pięknym słowem zapewne użytym w miejsce powszechnie znanej „spelunki”.

Odwilż, odwilż, ale nowa – stara władza o środowisku akowskim bynajmniej nie zapomniała. Niektórym za poparcie, w ramach hasła „życie raz jeszcze”, proponowano intratne posady. To był, rzecz jasna, drobnny retusz. Inwigilacja byłych konspiratorów i partyzantów nie zmieniła się nawet o jotę. W nakazanym mu zadaniu „Spóźniony” miał – na przykład – ustalić, czy Józef Piwnik „Topola”, żołnierz AK, brat legendarnego „Ponurego” „wpływa na gospodarzy z Kosowic i innych gromad i w czym się to ujawnia”. Zadaniem szczególnie ważnym było „delegowanie” agenta na uroczystości odsłonięcia kapliczki partyzanckiej na Wykusie, konsekwentnie nazywanej „tablicą”. Obszerny elaborat, sporządzony w oparciu o meldunki „Spóźnionego” zajmuje w książce Jerzego Mazurka aż 7 stron. Wyszły spod pióra wysokiego funkcjonariusza SB Długoszowskiego z Kielc, który wyłącznie dla tego jednego zadania przejął opiekę nad Kalitą.

Przez całe lata pod specjalnym nadzorem „Spóźnionego”, co uwidacznia się w dziesiątkach donosów, były rodziny Jopów i Cichockich. Wspomniany Michał Cichocki to postać ważna, często pojawiająca się w donosach. Był ojcem trójki dzieci: Zofii, żony Kality „Spóźnionego” (!), Antoniego zatrzymanego właśnie na skutek donosów „Spóźnionego” i śmiertelnie postrzelonego przez funkcjonariuszy UB („na podstawie jego informacji został zlikwidowany bandyta Cichocki, który był szwagrem t[ajnego] w[spółpracownika]” – podaje jeden z raportów pomieszczonych w książce) oraz Otylii, będącej żoną Waclawa Mądzika. W życiu Waclawa Mądzika, jak w soczewce skupiają się, wysnute z wydarzeń okupacyjnych i powojennej rzeczywistości, najbardziej charakterystyczne nici donosów „Spóźnionego”.

W Bartoszowinach, położonych niemal w cieniu klasztoru Świętego Krzyża, serca Gór Świętokrzyskich, bardzo wcześnie zawiązała się anty-

niemiecka konspiracja. W 1940 roku jednym z zaprzysiężonych żołnierzy placówki ZWZ został tamtejszy rodak Waclaw Mądzik, który przybrał pseudonim „Sęp”. Później był też znany jako „Górka” i „Winicjusz”. Mężczyzna, wówczas 27-letni, doskonale znał okolice Łysogór, Kielc, Opatowa, Ostrowca Świętokrzyskiego, co niebawem okazało się bardzo przydatne w konspiracyjnej robocie. Żołnierz 4. Pułku Piechoty Legionów, absolwent szkoły podoficerskiej, przeszedł bojowy szlak jednostki w wojnie obronnej 1939 roku do ostatnich walk w Lubelskiem. Pod Turobinem Waclaw Mądzik znalazł się w grupie 11 żołnierzy, dowodzonej przez majora Kolnera z krakowskiego pułku artylerii, którzy nie mieli zamiaru pójść do niewoli. Odważnie przebili się przez niemiecki pierścień. Mądzik wrócił z wojny do domu i wnet wojskową wiedzę i żołnierskie doświadczenie przekazywał w czasie szkoleń młodym adeptom konspiracji. W bartoszewickiej placówce ZWZ zostali też zaprzysiężeni ojciec i brat Waclawa, Jan i Józef Mądzikowie. Niestety, informacje o ich działalności podziemnej dość szybko dotarły do osławionego agenta Franza Wittka. Obaj Mądzikowie zdołali umknąć przed spodziewanym aresztowaniem, jednak niemiecka kula dosięgła Józefa w 1943 roku, gdy przewoził konspiracyjną prasę. Ciężko ranny, wożony przez żandarmów między opłotkami wsi, żeby nikogo nie zdradzić, powtarzał: „Nazywam się Jan Kowalski”. Niemcy kazali zakopać w polu zabitego partyzanta. Kilka miesięcy później, potajemnie, nocą ojciec przeniósł syna na cmentarz.

Zagrożony aresztowaniem, gdyż macki Wittka i jego agentów znów sięgnęły bartoszewian, Waclaw Mądzik, dotychczasowy „Sęp”, stał się „Górką”, „Winicjuszem” i znalazł kryjówkę w Garbaczu, nieopodal Mominy i Stryczowic. Jak wynika z dokumentu wystawionego przez Główną Komisję Weryfikacyjną Armii Krajowej w Londynie, został wówczas przydzielony do II oddziału Komendy Obwodu AK Opatów. Zajmował się wywiadem wojskowo-gospodarczym oraz zdobywaniem broni na Niemcach. Poznał też młodą pannę Otylię Cichocką, z którą zawarł związek małżeński i po wojnie doczekał się dwóch synów: Leszka i Waclawa Macieja. Okupacyjne drogi Mądzika przecięły się z konspiracyjną działalnością Leona Jopa *vel* Orwicza „Demona”, komendanta Podobwodu AK Ostrowiec Świętokrzyski. Ich konspiracyjna znajomość, może nawet przyjaźń, przetrwała okupację niemiecką. Latem 1951 roku Mądzik wstąpił do założonej przez Orwicza podziemnej antykomunistycznej Polskiej Podziemnej Organizacji Krajowej, która została włączona do struktur WiN. Organizacja została dość

szybko rozpracowana i rozbita przez Urząd Bezpieczeństwa. Dla jej organizatorów i członków zapadły surowe wyroki ferowane przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Kielcach. Waław Mądzik został skazany na 7 lat więzienia, Leon Jop, jako przewodnik – na 11 lat. Jednym z sądzonych konspiratorów był Stefan Stachura, który przy wstępowaniu do ZWZ składał przysięgę razem z Waławem Mądziakiem. Później Stachura przedarł się na Zachód i walczył pod Monte Cassino. Wrócił. Nowa Polska zafundowała mu parę lat więzienia. Stachura był jednym z tysięcy Polaków, którzy wracali do ojczyzny. Wojskowi z oficerskimi stopniami natychmiast byli otaczani „czułą” opieką służb bezpieczeństwa, o czym nie mieli żadnego pojęcia. Gdy przed paroma laty jeden z nich w IPN zajrzał do swojej teczki, z gorzkim uśmiechem przeczytał poźółkły ze starości donos, w którym napisano, że „władza ludowa nie może mieć do niego zaufania, ponieważ śpi w piżamie”(!).

Mądzik został zwolniony po odsiedzeniu ponad połowy kary. Zdecydowanie odmówił proponowanej mu przez Urząd Bezpieczeństwa agentury. Był bez pracy i dachu nad głową, bowiem żonę z dwójką małych dzieci wyrzucono z kwaterunkowego mieszkania. Wówczas rodzinie Mądzików z pomocą przyszedł działacz gospodarczy prof. Wincenty Kawalec, w późniejszych latach prezes Głównego Urzędu Statystycznego. Postawa profesora Kawalca to jeszcze jeden przykład, potwierdzający tezę, że dobro uczynione drugiemu człowiekowi do nas powraca. W czasie okupacji Waław Mądzik ukrywał Wincentego Kawalca zagrożonego aresztowaniem przez Niemców, chociaż doskonale wiedział, jakie z tego tytułu mogą być konsekwencje. Z kolei profesor Kawalec nie wahał się wyciągnąć ręki do antykomunisty Waławu Mądziaki, pomimo że Polska jeszcze tkwiła w okowach stalinizmu. Ostatnim aktem reżimowych represji, które dotknęły rodzinę Mądzików było relegowanie w stanie wojennym z Politechniki Świętokrzyskiej dr. Waławu Macieja Mądziaka, młodszego syna Waławu, oraz pozbawienie go prawa wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego. Starszy syn Waławu, Leszek Mądzik, jedna z najwybitniejszych postaci polskiej kultury, twórca słynnej, znanej w całym świecie Sceny Plastycznej KUL, też nie miał łatwych młodzieńczych, kieleckich lat, gdy ciążyło na nim odium powojennej, antykomunistycznej działalności ojca.

Dotknęliśmy tragicznego, wręcz niesamowitego wątku donosów Kality: zdrady tajemnic rodzinnych, donoszenia na najbliższych. Jakie były pobudki takiego postępowania? Święta Faustyna pisała pięknie, że „każda dusza to inny świat”. Są dusze spragnione miłości, pogodne, po prostu zwyczajne,

bywają też mroczne. Nie nam sądzić, jaką duszę miał „Spóźniony”. Czy gdy stanął w obliczu śmierci obudziło się w nim sumienie, żal za popełnione nikczemności, ciągłe donoszenie na teścia, szwagrów i inne osoby z nim spowinowacone? Tego nie dowiemy się nigdy. Jedno jest pewne: przez lata zachowywał się wyjątkowo podle. W jego osobie zderzały się jakby dwie postaci. Jedną był normalny mąż, ojciec, sąsiad, drugą – perfidny i bezwzględny donosiciel. Odwołując się do rozważań francuskiego filozofa Rene Girarda w znakomitej książce *Dawna droga, którą kroczyli ludzie niegodziwi*, jestem zdania, że bohaterowie donosów Kality byli „ofiarami kolektywnej przemocy”. Mocodawcy „Spóźnionego”, funkcjonariusze UB i SB byli jej ogniwami. Objawiała się ona w walce z podziemiem niepodległościowym, z chłopem, który nie zakolczykował świni albo nie oddał bańki mleka, robotnikiem słuchającym Radia Wolna Europa i opowiadającym tzw. kawały polityczne, każdym obywatelem, który ośmielił się upomnieć o swoje prawa, zawarte w Konstytucji, ale w życiu codziennym nagminnie łamane.

Wybitny pisarz emigracyjny Józef Mackiewicz, ponoć ulubiony autor generała Jaruzelskiego, który pomimo to nie zezwalał na krajową publikację jego dzieł, pisał, że tylko PRAWDA jest ciekawa. To przesłanie wiodące dla każdego historyka, który ma ambicję, pragnie, by jego dorobek trwale gościł w historiografii, a nie po jakimś czasie lądował na jej śmietniku. Badacz winien powściągać emocje, stać w prawdzie, być surowym, ale sprawiedliwym sędzią dziejów.

Otwarcie po 1989 roku archiwów dotychczas zamkniętych, szerszy dostęp do bardzo różnorodnych źródeł daje pole do pogłębionych badań dziejów najnowszych, także lat 1939–1945. Dzięki tej otwartości mogła powstać, jeszcze raz podkreślam, ważna książka przygotowana przez Jerzego Mazurka. Opracowanie oraz publikacja donosów wiernego sługi UB/SB przybliżyła nam i ukazuje prawdziwszy obraz wojny, a zwłaszcza powojennej rzeczywistości polskiej wolny od przekłamań i lukru ówczesnej propagandy. Momentami jest to obraz tragiczny, ale przecież doskonale wiemy, że historia – dzieje nie są pisane wyłącznie ciepłymi barwami. Również nie są to barwy tylko białe i czarne, ale mają całą niekończącą się gamę odcieni. I taka powinna być historia również jako naukowa, jak najbardziej obiektywna i bliska prawdy.

Udostępnione akta policji politycznej, meldunki agentów i donosy pospolitych konfidentów, oczywiście przefiltrowane okiem badacza, mogą pozwolić na nowe, bliższe prawdy spojrzenie na wojenną i powojenną Polskę. Przed historykami jest jeszcze dużo, bardzo dużo pracy. Nasze powojen-

ne dzieje powinny zostać napisane ponownie z uwzględnieniem archiwa-  
liów teraz udostępnianych. W minionych latach powstało wiele opracowań  
o „utrwalaniu władzy ludowej”. Chyba nie ma w naszym kraju regionu, któ-  
ry nie miałby takiego dzieła. Wystarczy sięgnąć po pierwsze z brzegu, by  
odkryć ducha epoki i styl, w jakim zostały napisane. Henryka Majeckiego  
*Początki władzy ludowej na Białostocczyźnie* (Lublin 1969), Jana Kantyki  
i Andrzeja Koniecznego *Dzień wczorajszy. Historia walk z reakcyjnym pod-  
ziemiem na terenie Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego* (Katowice 1969, wy-  
danie drugie zmienione i poszerzone), Mieczysława Sodela *W walce o ład  
i bezpieczeństwo na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948* (Wrocław 1979).  
W ostatniej z wymienionych książek, w przedmowie autorstwa profesora  
Ryszarda Halaby, znanego historyka PRL, padają takie słowa: „Pion reak-  
cyjnego podziemia reprezentował skrajne kręgi społeczeństwa o orienta-  
cji faszystowskiej”. Zauważmy: w 40 lat od wybuchu II wojny światowej,  
po pięciu latach okupacyjnej gehenny, milionach ofiar faszyzmu niemieckiego,  
uniwersytecki profesor odkrył, że w pierwszych powojennych latach byli  
Polacy, całe kręgi społeczne o faszystowskiej orientacji. Coś niebywałego.

Dalej jest równie ciekawa myśl, na szczęście nie tak z gruntu fałszywa,  
jak poprzednia. Piszze profesor Halaba:

Obóz reakcyjny, zwłaszcza jego prolondyński pion, popierała początkowo  
znaczna część społeczeństwa polskiego. Źródeł tego poparcia należy szukać w spe-  
cyfice historycznego rozwoju narodu, zwłaszcza w XIX i XX w. Zabory, a nastę-  
pnie okres niepodległego bytu (1918–1939) wywarły określone piętno na mentalności  
i świadomości społeczeństwa. Stare, antyrosyjskie kompleksy z czasów rozbiorów,  
przeplatające się w latach międzywojennych z antysowietyzmem i antykomuni-  
zmem odegrały niepoślednią rolę w dezorientacji politycznej pewnej części narodu  
polskiego, zwłaszcza drobnomieszczaństwa i chłopstwa. Reakcyjne podziemie wy-  
korzystywało te nastroje, głosząc tezy o rzekomo istniejącej w Polsce nowej „oku-  
pacji sowieckiej”<sup>15</sup>.

Każdy, choć trochę znający historię najnowszą, zauważy zatajenie fak-  
tów i wyjątkowo tendencyjny tok rozumowania, a już szczególnie obraźliwe  
jest sformułowanie o „antyrosyjskich kompleksach”.

---

<sup>15</sup> M. Sodel, *W walce o ład i bezpieczeństwo na Dolnym Śląsku w latach 1945–  
1948*, Wrocław 1979, s. 6.

Rozważania profesora Halaby to próbka stylu obecnego w opracowaniach z minionej epoki. W podobnym duchu jest utrzymana książka o budowaniu władzy ludowej na Białostocczyźnie, na którą służbowo został przeniesiony z Kielecczyny pułkownik Stanisław Wałach na równorzędne stanowisko szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Gdy w Kieleckim konspiracja antysystemowa została spacyfikowana, w Białostockiem, na Podlasiu jeszcze kwitła. Znam ten epizod podlaskich dziejów z opowiadań teścia dr. Franciszka Jaźwińskiego, ojca mojej śp. Marii, który przez pół wieku był lekarzem weterynarii w wysokomazowieckim powiecie. Opowiadał doktor Jaźwiński o ciągłych rewizjach, aresztowaniach, znikających ludziach, o niepewności jutrzejszego dnia. Pod stałą obserwacją była lecznica, mieszcząca się w zabudowaniach dworu w Michałkach, po którym nie pozostał żaden ślad. Wokół króluje potężna, nie tylko na Podlasiu, mleczna Mlekovita. Samo miasteczko Wysokie Mazowieckie było wówczas nazywane „Meksykiem”, bowiem przejawy terrorku niemal należały do jego codzienności. Dla sił bezpieczeństwa szczególnie groźny okazał się kapitan Kazimierz Kamiński „Huzar”, ostatni podlaski komendant 6. Brygady Wileńskiej AK, który cieszył się powszechną estymą tamtejszej ludności.

W rozbicie partyzantki „Huzara” było zaangażowanych wielu ubeckich agentów, często o akowskim bądź poakowskim rodowodzie. To są porażające fakty, o których piszą autorzy monografii Kamińskiego i jego żołnierzy:

Do rozgrywki z „Huzarem” wprowadzono agentów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Byli to Janusz Terlikowski, ongiś akowiec z Obwodu AK Bielsk Podlaski (obecnie TW „Rytel”, „Ryglewski”) oraz Marian Obniski (ongis prezes Pomorskiego Okręgu WiN, obecnie TW „Ignacy”, „333”). Kombinacja operacyjna, w której ich użyto, przygotowana przez Departament III MBP, oznaczona została kryptonimem „Narew”. Do dalszych działań dołączono kolejnych agentów – byłych żołnierzy podziemia poakowskiego – Stefana Sienkę (ongis zastępcę kierownika sieci informacyjnej IV Zarządu WiN, obecnie TW „Wiktor”, „Ikar”, „Tadeusz”), Edwarda Wasilewskiego „Wichurę” (ongis bohaterskiego dowódcę akcji na obóz NKWD w Rembertowie, obecnie TW „Wierny”, „Ramzes”) i Aleksandra Grubę (oficera Kedywu Podokręgu AK Rzeszów, obecnie TW „Bacę”). Warto zauważyć, że agenci zaangażowani w likwidację „Huzara” pochodzili z różnych stron Polski, piastowali wysokie funkcje w konspiracji i mieli za sobą piękne karty walki z Niemcami i z siłami bezpieczeństwa.

Niestety „Huzar” lekceważył doniesienia o tajemniczych wysłannikach konspiracji, którzy chcieli do niego dotrzeć. Jeden z nich Włodzimierz Awramienko, były szef Oddziału I Komendy Okręgu NZW Białystok okazał się agentem MBP, TW „Cedr”. W porę zdemaskowany z przestrzeloną głową trafił w nurty Bugu. Kamiński, wierzył, ufał ludziom, podobnie jak „Ponury” „Motorowi”. Misterny system prowokacji doprowadził do aresztowania „Huzara” w Warszawie. Gdy w chwili zatrzymania sięgnął po broń, okazało się, że ma w pistolecie ślepe naboje. Ostre usunął agent ulokowany w najbliższym otoczeniu Kamińskiego. Rezultaty pokazowych procesów, które w 1953 r., toczyły się w Łapach i Ciechanowcu, z góry były do przewidzenia. Oskarżeni o kolaborację z Niemcami oraz działania z niskich pobudek „Huzar” i jego 5 żołnierzy zostali skazani na karę śmierci. Wyroki wykonano w białostockim więzieniu, ale gdzie pochowano ich zwłoki, tego dotychczas nie wiadomo<sup>16</sup>.

Jakby nie patrzeć były to czasy wyjątkowo dramatyczne dla tego fragmentu Podlasia, który najpierw był pod okupacją niemiecką, później sowiecką i ponownie niemiecką. Historyk regionalista Jan Kryński, nauczyciel mojej śp. Marii w szkole średniej, w znakomitej książce *Wysokie Mazowieckie. Monograficzny zarys dziejów* lapidarnie i celnie ujmuje powojenną rzeczywistość podlaskiej wsi:

Do Apokalipsy można porównać ówczesne warunki życia rolników mazowieckich – pisze. Brak stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa ujemnie wpływał na odbudowę gospodarczą wsi, w której w dzień urzędowała władza ludowa, a w nocy – „Leśni”. Obie strony stosowały ostre sankcje za współpracę, nieposłuszeństwo czy domniemaną zdradę. Jedni karali torturami i długoletnim więzieniem, drudzy chłostą lub śmiercią. Ogólny chaos wykorzystywały wszelkiej maści grupy złodziejskie, które podszywając się pod partyzantów rabowały, nakładały kontrybucję, gwałciły. Osobiste porachunki załatwiali też funkcjonariusze państwowi zwerbowani do pracy przez władzę ludową<sup>17</sup>.

Książka o „Huzarze” pokazuje odkłamaną, najnowszą historię Podlasia. Jej napisanie było możliwe dzięki wykorzystaniu przez autorów materiałów

---

<sup>16</sup> K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Kazimierz Kamiński „Huzar”. Ostatni podlaski komendant 6 Brygady Wileńskiej AK i jego żołnierze 1939–1952*, Wysokie Mazowieckie 2007, s. 59.

<sup>17</sup> J. Kryński, *Wysokie Mazowieckie. Monograficzny zarys dziejów*, Wysokie Mazowieckie 2008, s. 224.

znalezionych w odtajnionych i dostępnych dla badaczy archiwach służb bezpieczeństwa. Plonem takich poszukiwań na kieleckiej niwie archiwalnej jest praca Jerzego Mazurka. Wiadomo, że jedna jaskółka nie czyni wiosny i należy oczekiwać kolejnych dzieł, które pokażą prawdziwe oblicze powojennej (wojennej również) świętokrzyskiej historii. Jak dotychczas jej obraz jest widziany głównie przez lekturę opracowań Stefana Skwarka, funkcjonariusza UB/SB, który przedzierzgnął się w historyka. Píše o sobie autor „walk o władzę ludową”:

Uczestnicząc w procesie formowania aparatu bezpieczeństwa na Kielecczyźnie i w walkach o utrwalanie władzy ludowej, byłem często świadkiem scen i dramatów bardzo bolesnych. Nie sposób zapomnieć przeżyć z tamtych lat, choć trudno dziś opisać ból, który nas ogarniał, gdy żegnaliśmy poległych towarzyszy, gdy uświadamialiśmy sobie, że najlepsi synowie ojczyzny giną od kul reakcji<sup>18</sup>.

Oczywiście ani słowa ludzkiego odruchu, tym bardziej współczucia dla ofiar drugiej strony. Dla Skwarka to są podludzie, po prostu bandyci.

Jak powszechnie wiadomo, w naszym kraju każdy ma prawo do swoich poglądów, pod warunkiem, że nie będzie propagować idei faszyzmu czy komunizmu. Każdy też, takie jest założenie przy pisaniu prac naukowych, ma obowiązek podawać sprawdzone fakty, nie konfabulować. Niestety, w swoich pracach Skwarek często mija się z prawdą. Oczywiście nie miejsce tu na recenzję jego opracowań. Poprzestańmy na historii życia jednego z bohaterów, którego nazwisko pojawia się również w donosach „Spóźnionego”. Zenon Krzekotowski, którego obszerny życiorys podaje w książce Jerzy Mazurek. Był on żołnierzem kampanii wrześniowej, w konspiracji AK, szefem wywiadu Opatowskiego Obwodu AK, w akcji „Burza” w 2. Dywizji Piechoty Legionów AK. Po wojnie, na skutek fałszywych oskarżeń został skazany na długoletnie więzienie. W 1961 roku przez Sąd Najwyższy został oczyszczony z zarzutów, uniewinniony i całkowicie zrehabilitowany. I co z tego skoro w wydanej kilkanaście lat później książce Stefan Skwarek przedstawia Krzekotowskiego jako człowieka szkodzącego Polsce, kolaboranta z ostrowieckim gestapo, niemal rasowego gestapowca, a po-

---

<sup>18</sup> S. Skwarek, *Na wysuniętych posterunkach. W walce o władzę ludową na Kielecczyźnie (1944–1954)*, Warszawa 1977, s. 6.

nadto kuzyna marszałka Rzeszy Hermana Goeringa, czyli osoby numer 2 w III Rzeszy! Doprawdy trudno pojąć, skąd się wzięła i co mogła robić na ziemi opatowskiej taka osoba. Zenon Krzekotowski zareagował na te oszczerstwa w sposób jedynie właściwy, czyli skierował sprawę do Sądu, który kolejny raz oczyścił go z zarzutów i nakazał Skwarkowi zamieszczenie płatnego ogłoszenia o przeprosinach w prasie ogólnopolskiej. Pikanterii dodaje fakt, że w czasie ukazania się szkalującej publikacji Krzekotowski został uhonorowany przez Edwarda Gierka wysokim odznaczeniem państwowym. Były oficer AK dr Zenon Krzekotowski stał się bowiem po wojnie znanym w świecie wybitnym fachowcem w dziedzinie metalurgii i hutnictwa. Stąd order. Ponoć Edward Gierek był wściekły, gdy usłyszał o kalumniach rzuconych przez Skwarka na Krzekotowskiego. Przeprosin w gazetach ogólnopolskich, w odniesieniu do innych osób, Skwarek zamieścił około dwadzieścia, zgodnie z prawomocnymi wyrokami sądowymi.

Jeszcze słowo o innym bohaterze spod znaku „utrwalenia władzy”. U Skwarka Edmund Kwasek to młody, dobrze zapowiadający się oficer UB, który dzielnie walczył z Antonim Hedą „Szarym”, a jako naczelnik wydziału śledczego WUBP znakomicie spisuje się przy likwidacji kieleckiego okręgu WiN. Po prostu bohater tamtych czasów. Ale Skwarek milczy o Kwasku w roli przesłuchującego aresztowanych i oskarżonych. Posłuchajmy jak wyglądały te przesłuchania w oczach aresztowanego Stanisława Wiącka „Inspektora”, żołnierza „Jędrusiów”:

Kwasek odwrócił taboret nogami do góry i kazał mi usiąść. Początkowo, wsparty na nogach, wisiałem nad stołkiem, ale schwycili mnie za nogi i wyprostowali je do przodu. Wtedy całym ciężarem upadłem na nogę taboretu, która wbiła się odbytnicę. Zacząłem krzyczeć. Była późna noc, puścili więc radio na cały regulator. Zerwałem się, ale czterej oprawcy rzucili się i siłą posadzili mnie na nodze. Zemdlałem z bólu. Oblali mnie wodą. Wyjęli z szafy gumowe pałki i skórzany pejcz i zaczęli mnie bić. Bronilem się. W końcu przełożyli mnie twarzą do ziemi przez taboret podstawiony pod brzuch, głowę okręcili w płaszcz i jeden z nich chwycił ją między kolana, ręce wziął mi do tyłu na plecy. Dwaj z boku przycisnęli nogi pod kolanami do podłogi i zaczęli okładać<sup>19</sup>.

---

<sup>19</sup> K. Bień-Orlicz, M.K. Orlicz, *Zameldować, gdzie należy... Dzieje Stanisława Wiącka ps. Inspektor żołnierza Oddziału Partyzanckiego AK „Jędrusie”*, Warszawa 2016, s. 89.

Wystarczy. Akuszerem książki, z której przytoczyłem tych kilka zdań o prawdziwym obliczu funkcjonariuszy UB jest Jerzy Mazurek, zaś autorami Krystyna Bień-Orlicz oraz Maria Kinga Orlicz.

Otwarcie archiwów służb bezpieczeństwa, chociaż dość przetrzebionych na początku lat 90., daje możliwość dotarcia do materiałów, o jakich historycy i politolodzy nawet nie mogli śnić w minionych latach. Problem polega na właściwym kierunku poszukiwań oraz na rzetelnej analizie odkrytych archiwaliów. To wielka umiejętność, która może zaowocować cennymi publikacjami.

Autor opracowania donosów „Spóźnionego” zdał egzamin prawie na szóstkę. Piszę „prawie”, żeby nie popadł w usypiające samozadowolenie. Zresztą dobrze wie, jako uniwersytecki nauczyciel, że nie ma takiej pracy, której nie dałoby się ulepszyć i udoskonalić. Czytam bardzo dużo, z różnych dziedzin humanistyki, to moja specjalność, ale już dawno nie miałem w ręku tak interesującej książki. To rewelacyjnie plastyczny obraz Polski powojennej, to prawda, że siermiężnej, ale jakże ciekawej, momentami dramatycznej, ale też i śmiesznej. Moje uznanie dla graficznej oprawy książki, a trochę znam się na tym. Znakomity pomysł z wykorzystaniem świetnego malarstwa (ma talent!) Leona Jopa-Orwicza.

Orwicz, jak doniósł „Spóźniony”, nawet po wyjściu z więzienia nie zmienił stosunku do władzy. Opowiada chłopom, że „kółka rolnicze to nic innego jak nowy dryg komuny, każdy sposób zrobienia chłopca niewolnikiem kolchozowym spali na panewce”. I miał rację! Orwicz poświęcił się sztuce, to piękne.

Książka donosów „Spóźnionego” to ważny krok w stronę opracowania rzetelnej monografii historii powojennej Kielecczyzny. Wciąż jest ona bowiem postrzegana przez lekturę opracowań Stefana Skwarka, które zostały napisane pod z góry nakreślone tezy oraz przy wybiórczym wykorzystaniu archiwaliów urzędów bezpieczeństwa i akt sądowych. Pamiętajmy przy tym, że niewinne, na pozór pospolite donosy, tajne poufne meldunki były glebą, na której wyrastały akty oskarżenia ludzi stających przeciw sowietyzacji ojczyzny, w walce z Kościołem, a także dla tępienia domniemych wrogów, czyli osób niewygodnych dla ustroju. Te akty, pełne frazesów i demagogicznych zwrotów, powstawały na wysokich szczeblach urzędów bezpieczeństwa, by ostatecznie trafić do sądów. Wyroki były nader surowe, kary śmierci i długoletnie więzienia ferowano bardzo często. A ile ofiar nie miało pochówku godnego osoby ludzkiej, dowiadujemy się teraz z prac po-

szukiwawczych, których symbolem stała się warszawska Łączka. Na szczęście donosy „Spóźnionego” nie były aż tak groźne. Nie wiadomo, ile jeszcze takich konfidenckich raportów spoczywa w dawnych ubeckich archiwach. Ale warto je poszukać dla dobra historii, dla poznania PRAWDY<sup>20</sup>.

**Longin Kaczanowski**

*Tadeusz Kalita „Spóźniony” melduje. Okupacja niemiecka i rzeczywistość PRL w donosach agenta UB/SB*, Wstęp, opracowanie naukowe i przypisy J. Mazurek, wydanie drugie, poprawione i uzupełnione, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2019, ss. 575.

---

<sup>20</sup> Panom dr. Wacławowi Maciejowi Mądzikowi i Leszkowi Mądzikowi dziękuję za udostępnienie dokumentów i zdjęć z rodzinnych archiwów.